





EX+LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ
I MIEJSKIEJ
BIBLIOTEKI
PUBLICZNEJ
IM. EMANUELA SMÓŁKI
W OPOLU

164

L: 164

ZE SPRAW
ŚLĄZKICH

NAPISAŁ

WARSZAWIAK.

| Stojanowski Stanisław |

Odbitka z „Gazety Narodowej“.

JÓZEF
REIMSCHÜSSL
—♦♦♦—

Lwów.

Nakładem wydawnictwa „Gazety Narodowej“.

Z drukarni i litografii Pillera i Spł.

1893.



943.8

2039 §
15420

§

943.8 : 323.1

ZBIORY ŚLĄSKIE

Akc V Nr 104
12/68 C



I.

Śląsk austriacki i pruski.

Jeśli mówimy o Śląsku, to mamy na myśli nie sam austriacki, nie samo księstwo Cieszyńskie, ale też Śląsk pruski, czyli tak zwany górny. Wszak to jedna dzielnica, jeden z tych nie-szczęśliwych działów Krzywoustego, który już po oderwaniu od Polski, przed stu dopiero laty, uległ temu samemu losowi co Macierz, bo został rozszarpany w wojnach Fryderyka Wielkiego z Austryą.

Śląsk pruski liczy przeszło milion polskiej ludności; w księstwie Cieszyńskim jest jej tylko 177.418 dusz; Śląsk górny pozostaje pod bezwzględny, nieubłagany naciskiem krzyżackiego rządu a księstwo Cieszyńskie pod rządem, w którym Polacy mają wpływowe, a nawet dominujące stanowisko; Śląsk górny w posłach wielkopolskich nie może szukać żadnego poparcia, au-

stryackim zaś mogą się zajmować polowie polscy.

Z tego wszystkiego wynikałoby, że pruski Ślązk powinien na siebie większą zwracać uwagę, a ponieważ tam sprawa narodowa więcej jest zagrożona niż w księstwie Cieszyńskim, więc obowiązkiem byłoby naszym więcej też się zajmować losem i sprawami Ślązka górnego niż austriackiego.

Nie można też mówić, że większe zainteresowanie się Ślązkiem austriackim w Galicyi stąd pochodzi, ponieważ on należy do składu tej samej monarchii, podczas gdy pruski należy do innego zaboru. Albowiem to tyczyłoby się najpierw samej Galicyi, a przecie, jak wiadomo, i Polacy z pod innych zaborów, a nawet zamorscy zajmują się Ślązkiem i czynią dla niego ofiary. A zresztą, że i braciom w zaborze pruskim można nieść moralnie i materyalnie pomoc, dowodzi to, jak żywo zajmowano się u nas założeniem Banku ratunkowego w Poznaniu.

Czemuż więc nie zwraca się, a przynajmniej daleko mniej zwraca się uwagi na Ślązk pruski, niż na austriacki? Czemu żadnej pomocy nie żądają od rodaków Górnoślązacy, tylko Ślązacy księstwa Cieszyńskiego, na którym sprawa narodowa mniej jeszcze doznaje

ucisku i mniej jest zagrożona, niż na Śląsku pruskim?

Odpowiedź na to jest zaprawdę ciekawa i ona nam wyświeci nie mało stosunki śląskie.

A odpowiedź tę dać możemy na podstawie dokładnej znajomości stosunków w jednym i drugim Śląsku, bośmy je z bliska badając, starali się poznać.

Owoż odpowiedź ta jest taka: Śląsk pruski, aczkolwiek bardziej ucisniony i zagrożony, sam się ratuje, broni i robi — a to ze skutkiem prawdziwego uwielbienia godnym; Śląsk zaś austriacki nie chce się sam ratować, nie broni się — mało co robi, a z germanizmem kokietuje na piękne, więc aby to wszystko pokryć, woła w niebogłosy o ratunek.

Na Śląsku pruskim lud sam się pilnuje, sam zwyczajne swoje potrzeby zaspokaja, a co więcej, zamiast żądać ofiar, sam je hojnie sypie na wszystko, co zrozumie i czego potrzebę pozna. Niech o tem powiedzą księża galicyjscy z Kalwaryi, Krakowa, Alweri — i wszyscy wydawcy książek dla ludu.

Ale na Śląsku pruskim pracuje się i robi. Zaczął śp. Karol Miarki, po nim przyszli inni i pracując w tym samym duchu, doprowadzili dziś do tego, że

4

samo pismo *Katolik* ma przeszło 19 tysięcy czytelników; pisma zaś: *Nowiny Raciborskie* i *Gazeta Opolska* mają ich po 3 do 4 tysiące; więc razem mają one przeszło 25 tysięcy czytelników na jeden milion ludności polskiej!

Czyż więc Ślązk pruski nie prześcignął Galicyi, w której zapewne nie tylko ludowe, ale wszystkie pisma polskie razem, zaledwieby nazbierały 25 tysięcy odbiorców?

To jedno. A dalej ważniejsze: lud polski na Ślązku górnym ma towarzystw bez liku; w każdym mieście po kilka, które same się utrzymują i ruch narodowy szerzą w coraz szersze koła. Ma on swoje towarzystwo Pomocy Naukowej, związki robotnicze, śpiewackie, przedstawień amatorskich itd.

A co najważniejsze: ten lud przy wyborach, mimo ogromnego nacisku, z ambon nawet szerzonego, wybiera swoich kandydatów do parlamentu, żąda od nich dokładnej znajomości języka polskiego, a o swoje prawa w szkole i wszędzie dobija się z niezłomną energią i wytrwałością.

Dowodzi to, czem lud Ślązki jest i jak umie pracować i bronić sprawy narodowej sam — bo przecie o Ślązku pruskim mało się u nas pisze i mówi, a wielu nawet może nie wie, że ten

ruch narodowy; zaczawszy się od Bytomia za Krakowem, dziś dociera już prawie pod mury Wrocławia.

Czy na Ślązku austriackim, w Księstwie cieszyńskim nie mogłoby być tak samo?

Owszem, mogłoby być i byłoby, bo pod rządem austriackim byłaby ta walka łatwiejszą.

A czemuż tak nie jest? Czemu wszystko kończy się dziś na tem: „zakładajmy polskie gimnazjum“ — a nie robi się nadto tylu jeszcze niezbędnych rzeczy?

Dzieje się to, powtarzamy, dla „pokrycia bezrobocia“ śląskich przewodników narodowych. Aby zaś nikt nas nie posądził o przesadzanie lub przedstawianie rzeczy nie w prawdziwym świetle, wskażemy w następnym artykule, co na Ślązku austriackim należałoby i można zrobić zupełnie bez pieniędzy, a czego się przecie nie robi.

II.

Co można i trzeba zrobić bez pieniędzy w księstwie Cieszyńskim?

Z Krakowa do Cieszyna w prostej linii byłoby 10 do 12 mil, ale stało się to rozmyślnie, że nie połączono tych miast żadnym prostym szlakiem, ale trzeba kołować na Kalwaryę-Wadowice-Bielsko, albo na Dziedzice-Bielsko, lub wreszcie na Bogumin, chcąc się dostać do Cieszyna. Tak droga, która by powinna trwać nie całe 3 godziny, wynosi przy tem połączeniu najmniej 5 godzin przy pospiesznych, a 7 do 9 przy zwykłych pociągach. Jadąc ku Cieszynowi, bacznym podróżnik zauważy, że skoro minie Dziedzice, gdzie jeszcze na stacyi — choć ona należy już do Śląska — są i napisy polskie i wywoływania portyerów w niemieckim i polskim odbywają się języku — na najbliższej atoli stacyi w Bielsku wszystko to od razu znika. Napisy wszystkie na dworcach są wyłącznie niemieckie,

służba odzywa się głośno tylko po niemiecku i tak samo jest na wszystkich szlakach kolejowych na Śląsku. Zastanawia i to, że np. w Boguminie tak samo wyłącznie niemczyzna panuje, podczas gdy poprzedzające stacye galicyjskie a nawet śląskie mają napisy w niemieckim i polskim, oraz zaczynające się tuż za Boguminem stacye morawskie, mają również napisy w niemieckim i morawskim języku.

Ta ostatnia okoliczność wskazuje, dlaczego w Śląsku niemczyzna góraj. Ta sama kolej, na tym samym szlaku kolejowym, kładzie napisy niemiecko-polskie lub niemiecko-morawskie tam, gdzie tego żądają, a opuszcza je tam, gdzie o to nie dbają i nikt się o to nie upomni!

A na Śląsku austriackim patryoci o nic się sami nie upominają, wszystko z potulną uległością przyjmują.

Przebywając umyślnie dłuższy czas na Śląsku dla zbadania tutejszych stosunków, nanotowałem sobie mnóstwo takich rzeczy, któreby zrobić tu można i trzeba, a których nie robi się z różnych względów i rejestr ten tu pod liczbami wypisuję:

1. Językiem urzędowym jest tu wprawdzie język niemiecki, ale tyle „łaski“ zrobiono, że raczono polski ję-

zyk nazwać: „*die zweite Landessprache*“. A więc urzędowo język polski uznany jest jako „język krajowy“ — a zatem wolno do wszystkich władz politycznych i sądowych wnosić podania w języku polskim. Czy to się jednak robi? Bynajmniej, chyba bardzo rzadko, gdy się znajdzie ktoś odważniejszy i bardziej dbający o sprawy narodowe. A przecie są tu adwokaci, Słazacy, notaryusze, sędziowie nawet, ale ci Polacy polskim stronom robią sprawy w języku niemieckim, bo to „prędzej idzie!“

2. Protokoły w urzędach na żądanie stron mogłyby być pisane po polsku, jako w „drugim języku krajowym“, ale piszą się zawsze po niemiecku, bo nikt tego nie żąda.

3. Wezwania i recepty odbiorcze powinny z urzędu być polskie i istnieje na to przepis — ale i to się nie dzieje, bo znowu nikt na to nie zważa i podpisuje przysłany mu niemiecki formularz bez oporu i protestu.

4. Co więcej, akty wszystkie sporządzane u notaryuszów, mogłyby być i powinny z polskimi stronami pisane po polsku, ale i to dzieje się bardzo rzadko, bo niestety! ludzie wolą mieć akta niemieckie a panom notaryuszom jest z tem wygodniej.

5. Szkoły ludowe, wedle obowiązujących w państwie ustaw, mają być takie, jakiej narodowości są dzieci i język w nich wykładowy nie tylko może, ale musi być zastosowany do języka większości dziatwy szkolnej. Tymczasem w całym Śląsku, w tysiącach gmin wiejskich i miejskich, gdzie szkoły nie mogłyby, ale powinny być polskie, bo gmina i dziatwa są polskie, nie ma ani jednej szkoły polskiej, ale są szkoły tak zwane mieszane. Już w „pierwszej” klasie nauczyciel jest obowiązany wpakować dziatwie do głowy 60 wyrazów niemieckich, a w dalszych klasach uczą już przeważnie niemieckiego języka i po niemiecku!

Idzie to tak daleko, że nawet religii w szkołach „ludowych” w klasach dalszych uczy się po niemiecku! A to nie tylko nie jest nakazane, ale raczej wprost zakazane, a ustawami kościoła duchownym wprost wzbronione. Nigdzie też w Austrii to się nie dzieje, ani w szkołach średnich, tylko tu na Śląsku, bo katecheeci przez dowolność i przechowywanie starego zwyczaju, całkiem dobrowolnie to czynią.

6. W gminie, gdzie jest 40 dziatek pewnej narodowości, tam gmina musi dla nich postarać się o szkołę ludową,

1
 ma się o telefon
 staryj
 w ich narodowym języku. Na tej podstawie musiano założyć szkoły ruskie we Lwowie — bo na to jest ustawa. W Cieszynie jest 7000 i więcej polskiej ludności, a dotychczas nie ma ani jednej polskiej szkoły — bo nikt o to upominać się nie chce!

7. W Cieszynie jest połowa ludności polskiej, a więc co najmniej połowa Rady miejskiej powinna być polską, a już językiem Rady miejskiej i magistratu powinien być polski. Wszak tam, gdzie Czesi mają tyle swojej ludności, tak bywa, bo tak wedle ustawy być musi. A co najmniej język polski nie śmiałby być zupełnie wykluczony. Tymczasem w Radzie miejskiej w Cieszynie nie ma żadnego Polaka-narodowca (są Ślązacy, mieszczenie cieszyńscy, mówiący w domu nawet po polsku ale tacy, co dobrowolnie Niemcom się poddają.) A czemu tak jest? Bo w czasie wyborów miejskich, (a odbywały się one właśnie przed dwoma tygodniami) żaden patryota cieszyński ani palcem nie ruszył! Co więcej, *Gwiazdka Cieszyńska* ani słówka nie napisała przed wyborami, że się one odbędą, albo co i jak robić — aż dopiero po wyborach podała nazwiska wybranych w 3 kołach, dodając w „Jurze i Jan-kuł“ że tak się stało, jak kazał p. Fassel, a będzie lepiej za trzy lata!

8. To samo, co w Cieszynie, dzieje się we wszystkich miastach Śląska, a w tych, wyjąwszy Bielska, nietylko połowę, ale większość decydującą stanowią Polacy! Lecz i tam nikt o wybory się nie troszczy, ani nikt ludności polskiej nie pouczy o jej prawach, ani do walki o nie nie zagrzeje, ani w niej nie pomaga.

9. Zatem idzie, że nietylko w Cieszynie przy połowie ludności polskiej, ale i w Frysztacie, Boguminie, Jabłonkowie, Skoczowie itd. rej wodzą w radzie Niemcy, językiem urzędowym jest niemiecki — a w końcu i napisy ulic są niemieckie. Co wszystko mogłoby i musiało by być inaczej, gdyby się o to tutejsi patryoci sami starali.

10. Lecz może lepiej jest w gminach wiejskich, gdzie Niemców albo wcale nie ma, albo jest ich zaledwie kilkunastu? Ale gdzież tam! W gminach często czysto polskich językiem urzędowym jest także język niemiecki! Spyta kto, któż nim mówi? Jużci nikt w gminie nim nie mówi, ale przecie gmina po niemiecku urzęduje, bo nauczyciel, organista lub ktoś podobny jest pisarzem (tu nauczycielom to wolno), a ci prowadzą urzędowanie po niemiecku — bo nikt przeciw temu nie woła!

11. Gmina ta nie jest podzielona na gromadę i obszar, ale obszar dworski należy też do gminy i z nią razem głosuje i wybiera. Ztąd w gminach, gdzie jest zarząd arcyksiążęcy, do rady gminnej wchodzi zarządcy zarządu arcyksiążęcego. — Ci bywają wójtami i sekretarzami i w polskich gminach urzędują po niemiecku. W gminach, gdzie są folwarki gospodarcze nie ma na to rady, ale tam, gdzie są huty lub kopalnie, zarządcy hut i kopalni wedle ustawy nie mogą być równocześnie przełożonymi gminy, bo nadzór nad takim zarządem należy do gminy, a zatem samiby siebie nadzorowali. Tak to przy rozprawach o krwawych wypadkach w Morawskiej Ostrawie, oświadczył minister. Ale tu przecie się to dzieje, a ludność polska jest wydana na samowolę zarządów, gdyż znowu nikt gmin nie pouczy, ani przeciw temu nikt nigdy głosu nie podniesie.

12. Starostwa tutejsze robią praktyczniej, bo swoje polecenia, zarządzenia itp. do gmin, posyłają w tak zwanym „Dzienniku urzędowym“. Dziennik ten był do niedawna wydawany w języku niemieckim, dla gmin polskich niezrozumiałym, ale nikt o to długie lata się nie upomniął, że gminom polskim, płacącym za ten „Dziennik“, na-

leży się on w zrozumiałym dla nich języku. Dopiero, gdy starosta cieszyński ze względów praktycznych sam pomyślał o „Dzienniku urzędowym polskim” — „patryoci” zamiast dopominać się o słuszne prawo — zachęcali gminy, aby osobno płaciły na „Dziennik urzędowy polski”! Za cóż gmina ma płacić na dziennik niemiecki, którego nie zrozumie i nie potrzebuje, mając „Dziennik urzędowy polski”. Ale to się robi, aby nie drażnić!

13. O napisach i wołaniach na stacjach kolejowych już wyżej wspomniałem. Czemu się to dzieje, że wszystko tu po niemiecku, objaśni co następuje: Służba kolejowa podrzędna, to wszystko Polacy tutejsi; po niemiecku mało co więcej umieją nad owo: „*Erstes, zweites Läuten! Bitte einsteigen!*” Więc pytam raz jednego: czemuż nas nie wołacie po polsku? — „Człowiek musi robić, jak mu rozkazano!” — brzmiała odpowiedź! A że takie rozkazy się tu utrzymują, łatwo zrozumieć. Spotkawszy się raz z jednym posłem sejmowym śląskim na dworcu kolejowym, mówię mu: „Czemu się nie upomniecie o polskie napisy i wołanie na stacjach — wszak w Galicyi i tuż na Morawach to robią?” — Popatrzył na mnie zdumiony, ruszył ramionami i

rzekł: „Tu już tak to jest!“ I siadł do wagonu, bo właśnie zawołano: *„Bitte einsteigen!“*

14. A iż wspomniałem o pośle, więc zaraz przytoczę, że językiem urzędowym sejmu śląskiego jest także język niemiecki, a posłowie ślązcy mówią w nim zawsze po niemiecku, choć wedle prawa o drugim języku krajowym wolno im mówić po polsku, a mowy te ich musiałyby być stenografowane! Tłumaczą się tem, że chcą, aby ich rozumiano! Ale to czoza wymówka, gdzie idzie o zatwierdzenie praw narodowych i ich zdobywanie.

15. Tą samą wymówką pokrywa się i to, że wielu Polaków w towarzyskiem obcowaniu posługuje się niemal zawsze językiem niemieckim, chociaż tu na Śląsku nie znajdzie prawie człowieka, któryby po polsku nie rozumiał, lub przynajmniej nie mógł się po polsku rozmówić. A czyni się to już nawet bez ruszania ramionami, całkiem dobrowolnie, ze złe zrozumianej grzeczności, a z krzywdą dla sprawy narodowej. Robią zaś to wszyscy: posłowie, książa, inteligencya polska i sami kierownicy tutejsi spraw narodowych!

16. Na Śląsku nie ma Rad powiatowych. Sprawy przekazane u nas Radom powiatowym sprawiają tutaj tak

zwane „wydziały“, czyli komitety do pewnych czynności obierane. Są więc wydziały drogowe, gminne, sanitarne; są też Rady szkolne, komitety kościelne itd. Otóż do niedawna nie troszczono się o wybory do tych małych ciał autonomicznych, zastępujących galicyjskie Rady powiatowe. Od czasu założenia „Związku katolików śląskich“ trochę się to poprawiło, i zaczęto się starać, aby do tych wydziałów wybierać tak zwanych „narodowców“, t. j. ludzi, którym sprawa narodowa więcej na sercu leży. Ale wnet ten zapal ostygł, a o to wcale się nawet nie pokuszono, aby w tych wydziałach zaprowadzić język polski. Więc wydziały te autonomiczne, z gmin polskich wybierane, urzędują równie po niemiecku!

17. Najbardziej zadziwia to urzędowanie niemieckie w komitetach kościelnych, gdzie przecie i ksiądz, będący zwykle przewodniczącym i sekretarzem w jednej osobie, jest Polakiem i wszyscy parafianie. Aprzeczcież tak jest i nawet podobno na myśl nikomu nie przyjdzie, aby to było inaczej.

18. Tak samo metryki kościelne, które przecie wedle jakiegoś patentu cesarskiego mają być pisane po łacinie, tu piszą się po niemiecku, czemu przy-

pisują to, że nazwiska polskie są tu właśnie tak poprzekręcane, iż mówią Bernatcki, Waschitza, zamiast Bernacki, Waszyca itd.

19. Co więcej, po miastach i wsiach czysto polskich wkłada się powoli zwyczaj, że niektórzy organiści, chcąc się popisać „wyższem“ wykształceniem, w czasie świąt i uroczystości większych, zaczynają śpiewać po niemiecku, ku niemałej przykrości parafian, którzy w ten sposób zmuszeni są w kościele do milczenia.

20. Lecz jakże się dziwić organistom, że chcą przez niemiecki śpiew dać dowód, że i i oni coś potrafią, kiedy były już wypadki, że Polacy i to nie Ślązcy, nie ze wsi, ale inteligencya z Galicyi pochodząca, aby się nie poniżyć, biorąc ślub w kościele, przysięgę małżeńską składała po niemiecku! A to bynajmniej nie dlatego, żeby się byli żenili z Niemkami, bo owszem brali żony umiejące po polsku, ale tylko dlatego, że był to ślub „pański“ — a panowie mówią po niemiecku!

21. Z tego samego zapatrywania wychodził prawdopodobnie i poseł Cieńciała, który przeszłego roku, otwierając wystawę rolniczą, pisał przemowę po niemiecku. Ale nie on to jeden tak czy-

ni, bo przy każdej podobnej uroczystości i mowie przygodnej urzędowej, pa-tryoci i narodowcy ślęzy używają „języka inteligencji“ tj. niemieckiego, często nawet nie racząc dodać dla pospółstwa polskiego zakończenia!

22. Cóż dziwnego, że wobec tego wreszcie i napisy sklepowe, tablice z nazwami gmin itp., wszędzie tu prawie wyłącznie niemieckie, a jeżeli się znajdują napisy polskie, (w Cieszyńie narachowałem ich zaledwie kilkanaście) to są to napisy albo z lat dawniejszych, albo to jakiś praktyczny żydek dodał je dla zwabienia ludu!

23. Ale, ale! Wszak sam napis na zborze ewangelickim — a ewangelicy przecie twierdzą, że oni tu Polskę trzymają — i to napis nie byle jaki, ale w kamieniu wykuty, jest niemiecki, na samym froncie drzwi wchodowych: „*Jesus-Kirche!*“ Tak samo w nowo zbudowanym szpitalu ewangelickim tablica pamiątkowa jest niemiecka — mowy główne przy uroczystem otwarciu zakładu były niemieckie — a obsługują szpital dyakoniski niemieckie, sprowadzone tu z Darmsztadu, czy z kądś *von Draussen!*

Na tych 23 punktach kończy się, ale dopiero pierwsza część mojej no-

tatki. Zawiera ona te rzeczy, które się robią i dzieją, a robić i działać się nie muszą, ani nie powinny. I gdyby tego nie było, wówczas bez nakładu, bez ofiar, Śląsk austriacki od razu i jednym jakoby zamachem zrzuciłby z siebie kurtkę niemiecką, w którą go wtłoczono, a stałby się tem, czem jest, dzielnicą polską — i lud tutejszy polski swobodnieby odetchnął powietrzem polskiem. O, bo lud to czuje, że go duszą i na to wszystko narzeka, a nieraz już głośno dopominał się zmiany.

Cóż do zmiany tych tu wyliczonych punktów może pomódz Galicya lub Królestwo? Co najwyżej mogłoby „Koło polskie“ wydeptać, aby na podania polskie odpowiadano po polsku, i prawa „drugiego języka krajowego“ były uwzględnione: co w drodze administracyjnej stać się może — i co np. minister rodak w sprawach rad szkolnych sam, jednym pociągnięciem pióra mógłby uczynić. Ale po za tem, wszystko inne jest w mocy samych tutejszych ślązkich patryotów — i jeżeli oni nic nie robią i o nic dbać nie będą, owszem sami „dla spokoju i innych względów“ — a wbrew uczuciom i pragnieniom ludu polskiego — niemczyzną utrzymywać i popierać będą, to choćby rodacy Śląsk złotem zasypali, pozostanie na nim ta skorupa niemiecka.

III.

Co jeszcze można i trzeba zrobić „bez pieniędzy w Księstwie Cieszyńskim?

W poprzednim wyliczeniu podałem 23 punktów, wskazujących to, co się na Śląsku dzieje i robi, a dźiać się i robić nie powinno. Są to więc rzeczy ujemne; trzeba ich zaniechać, należy zaprzestać dobrowolnego wzmacniania niemczyzny, zerwać z tradycją rzekomego „nienaruszania spokoju“, a robić inaczej, wszędzie i zawsze zatwierdzając nasze prawa narodowe i wyzyskując ustawy istniejące na korzyść tych praw nam już przyznanych. Gdy się to stanie — a zależy to wyłącznie od samych Polaków, głównie zaś od przewodników — to wtedy bez żadnego kosztu, bez pieniędzy Śląsk będzie już na zewnątrz więcej wyglądał polskim.

Lecz okrom tych spraw, które nazwaliśmy ujemnemi, są inne, które zrobić można i potrzeba, aby owe uje-

mne strony usunawszy, życie narodowe na Ślązku prawdziwie zakwitło.

A tu znowu wrócić wypada do przykładu Ślązka pruskiego. Któż tam przeprowadza wybory polskich posłów? kto daje rozkwit — po Warszawie — rzekłbym, największy dziennikarstwu i wydawnictwom? kto należy do niezliczonych polskich towarzystw? kto sypie grosz na wszystkie potrzeby narodowe?

Lud i jeszcze raz lud! W całym Ślązku górnym polskiej inteligencji nie ma może tyle, ile jej jest w samym Cieszymie. W zwyczajnych warunkach ani 5 zł. nie wpłynie z Galicyi lub skądinąd na sprawy górnośląskie; język polski nie ma przyznanego sobie ustawowo prawa „drugiego języka krajowego“, szkoły polskie żadne istnieć nie mogą — a przecież mimo o tyle niekorzystniejszych, niż w Cieszyńskim, warunków, górny Śląk w porównaniu do Cieszyńskiego tryska narodowem życiem! Dlaczego? Bo milionowa masa ludu się rusza i stwierdza, że jest i że się nie da zjeść w kaszy!

Popatrzmyż teraz na lud w księstwie Cieszyńskim. Tu ten biedny lud jest jakby sierotą bez ojca i matki, zahukany przez niemieckich lub zniemczonych funkcyonaryuszy rządowych, ka-

meralnych, fabrycznych, poniżany przez niemiecką lub zniemczającą inteligencję, nie broniony przez krzyczących w niebogłosy o „narodowej walce“ przewodników i kierowników sprawy narodowej.

Oto na to dowody:

1. Towarzystwa tutejsze: „Czytelnia ludowa“, „Dom narodowy“, nawet „Macierz szkolna“, „Towarzystwo pomocy naukowej“, „Sokół“ itd. nie mają wśród ludu śląskiego albo bardzo mało członków, tworzą je: garstka tutejszej inteligencji i członkowie, zbierani nawoływaniem w całej Polsce! Więc te towarzystwa nie wnikają w życie tutejszego ludu — on o nich nie wie i niemi się wcale nie interesuje!

Proszę zaglądnąć do sprawozdań i dołączanych do nich spisów członków a znajdziecie tam nazwiska ze wszystkich krańców i kolonij polskich, tylko nazwisk śląskich będzie zaledwie kilkadziesiąt.

2. A dlaczego znowu tak jest? Bo przewodnicy śląscy o lud nie dbają, a zbieranie członków — właściwie mówiąc „wkładek“, w całej Polsce idzie nie tyle na rzecz samą, ile na administrację tych towarzystw. Kasy na własne (nie ludowe) dla wieczorków, ba-



łów itp. nie wystarczą do rozruszania ludu i obudzenia w nim ducha narodowego.

Idąc do ludu, trzeba by się narazić figurom rządowym, trzeba by zetrzeć się nieraz z kamerą arcyksiążęcą, trzeba by pracować i niejedną ponieść ofiarę — a gotowym do tego nie ma tu nikogo. Ten czeka na jakąś posadę, ten się stara o to lub owo, tamten ma sprawę w sądzie i t. d. — jakżeż się narażać?! Więc krótko mówiąc: W Księstwie Cieszyńskim nie ma prawdziwie ludowego towarzystwa, któreby do boju za sprawę narodową prowadziło tych 177 tysięcy Polaków przeciw 41* tysiącom niemieckich „współobywateli“. Czyż te same cyfry nie wskazują po czyjej stronie musiałoby być zwycięstwo?

A co ten lud może, gdy go myśl jakaś prawdziwa poruszy, to się i tu pokazało, gdy przed ośmiu laty założono takie towarzystwo „ludowe“ pod nazwą „Związku śląskich katolików“. Od czasu konstytucyi byli tu zawsze posłami Niemcy lub renegaci. Gdy nareszcie ks. Mons. Świeży założył ten „Związek“ — gdy trafił do ludu hasłem: „Obierajmy narodowców!“ zaraz przy pierwszej potyczce, to jest przy ostatnich wyborach zdobyto trzy

mandaty polskie! — Ale po tem zwycięstwie nastala stagnacya i „Związek“ istnieje, ale śpi! A stało się to znowu z winy wydziału i przewodników. Najpierw, zdobywszy mandaty, osłabli w czynności, a dalej zawiedli lud w oczekiwaniu, bo lud myślał, że wybrawszy trzech posłów swoich, będzie miał dzielniejszych obrońców, łatwiej należne sobie prawa uzyska, a tymczasem nic się nie zrobiło, o nic innego, prócz tej lub owej subwencji z funduszków krajowych (któraby resztą i tak przyszła) się nie postarali — więc lud osłabł w zapale, a na ostatniem zebraniu „Związku“ w Strumieniu, w polskiej okolicy, było obecnych 70 osób!

3. A jak nie ma prawdziwego ludowego towarzystwa, tak też nie ma żadnego już zgola mieszczańskiego, rękodzielniczego, czy to dla starszych, czy dla młodzieży. — Ztąd mieszczaństwo w Cieszynie, rdzennie polskie, już przeszło, a w innych miastach przechodzi, raczej ulega przewadze niemieckiej — i pomnaża zastępy renegatów. A przecie w samym Cieszynie są setki jeszcze mieszczan polskich, jest mnóstwo młodzieży rękodzielniczej polskiej, przybyłej ze wsi, z których możnaby liczny utworzyć zastęp narodowy, ale nie ma komu!

Czyż to nie wstyd np., że „Sokół“ cieszyński liczy zaledwie może 20 członków, a jeśli więcej, to chyba tylko płacących wkładki. Na ćwiczenia zaś przychodziło, gdy Kraków na swój koszt wysłał instruktora, po ośm lub dziesięć osób.

A czemu? Bo panowie kierownicy w „Sokole“ rady, którą im dawano na pierwszem zebraniu, aby się zwrócili do rękodzielniczej młodzieży, nie przyjęli! Bo i po cóż? Przybyłoby roboty, możnaby się narazić — a tak nazwa towarzystwa jest, i „Sokół“ cieszyński wysyła swoich reprezentantów, to jest prezesa lub kogoś podobnego, na „złoty sokolskie“, którzy pięknie mówią „o trudnej walce na kresach“, ale członków „Sokół“ w Cieszynie nie ma! — Sztandar z Krakowa przywieziony przyjęto na wystawie wśród frazesów, i leży on spowity na składzie, z kąd go pewnie ani za 100 lat nikt nie ruszy.

4. Na Ślązku, sławnym z przemysłu, najpotrzebniejsze byłoby towarzystwo robotnicze. Wszak Bielsk, Karwina, Trzyniec, Ustroń, Jabłonków, Orłowa, Polska Ostrawa, Dąbrowa itd. toć wszystko ogniska wielkiego przemysłu: kopalnie, huty żelazne, fabryki sukna, przędzalnie itd., zatrudniające nie setki, ale tysiące robotników. Nie

przesadzę, mówiąc, że niemal połowa ludności Ślązka to robotnicy tych zakładów przemysłowych. I uwierzy kto, że tu nie ma żadnego stowarzyszenia robotniczego, że o los tych robotników, o ich podniesienie umysłowe i narodowe nikt tu się zgoła nie troszczy — a tylko socjaliści w ostatnich latach zaczęli się tu uwijać? A przecież ten lud, nie mówiąc już o socyalnym ucisku i wyzyskiwaniu, wydany jest pod względem narodowym na pastwę verwalterów, bergrathów, Lüttenmeistrów i całej masy podobnych osobników, z których każdy za swój obowiązek uważa deptać uczucie nasze narodowe, a poniżać wszystko co polskie? Nie boliż serce, gdy polskim robotnikom przy pogrzebach polskich każą na pożegnanie towarzysza wołać: „Glück auf!“ albo kapelom górniczym z Polaków przeważnie złożonym, wygrywać same niemieckie walce i trele?

A przecie polscy kierownicy spraw narodowych na Ślązku dotychczas jeszcze ani pomyśleli, aby zająć się tym ludem, zorganizować go do samopomocy, a stworzyć z niego tysięczną armię narodową, jaką są robotnicy polscy na Górnym Ślązku.

Prawda, rzecz to trudna, bo trzeba złamać i upor i teroryzm wszechwła-

dney tu kamery arcyksiążęcej. Ale gdyby miano odwagę cywilną, a szczerze zależało na sprawie narodowej, toby wspólnemi siłami się to zrobiło — bo zresztą zrobić się to musi, inaczej liczne tysiące polskich robotników, połowa Ślązka autryackiego przepadnie!

5. Oprócz niezbędnych tu towarzystw robotniczych mogłyby i powinny tu być w każdym przynajmniej większem mieście jakieś stosowne organizacye dla sług, oraz „szkoły sług”. Dlaczegoż zarozumiali kulturyści niemieccy nazwali język polski: „*Dienstbotensprache*” — językiem sług! Boć cała ta liczna klasa ludzi, jak wszędzie tak i tutaj, ciśnie się do miasta ze wsi — a te tu wszystkie są polskie. Owóż ta družyna robocza ulega zgubnemu wpływowi niemczyzny. „Państwo” mówią po niemiecku, więc język niemiecki to „pański!” Któż nie zrozumie jaki to urok i wpływ wywiera na służbę — i ile ztąd dla sprawy narodowej tu szkody? A te biedne usługi żadnej tu nie mają opieki, ani nikt ich uczuć dla ojczyztego języka wobec tych pokus nie wspiera.

6. Dalej powinny to zwłaszcza w Cieszynie i Bielsku, gdzie są liczne zakłady naukowe, być koniecznie „bursy polskie” dla młodzieży. Byłaby

to zarazem i „pomoc nankowa prawdziwa“ i jakoby „ognisko“ ciepłe, rodzinne, narodowe dla młodzieży, które gdyby istniało, z pewnością ani niemiecka szkoła nie potrafiłaby młodzieży zniemczyć.

7. Wreszcie potrzebneby były pisma ludowe, prawdziwe, praktyczne, przystępnie pisane, w życie i stosunki sięgające, i całym ruchem narodowo-ludowym kierujące.

Ale jest przecie *Gwiazdka cieszyńska*, powiecie. Tak jest, ale blask jej zgasł, od kiedy Stalmach przestał ją redagować, a piszą ją co roku inni redaktorowie, najczęściej przychodzący z poza Ślązka, którzy zanim się rozpatrzą, już też znajdzie się jakiś powód ich zmiany — i idą precz! „Gwiazdka“ w ten sposób nie przedstawia ani życia ani stosunków tutejszych. Piszą się czasem ogólnikowo frazesy o sprawie polskiej, dla „reszty świata“ albo jak towar za okno wystawowe — i na tem koniec! Co więcej, często się świat polski wprost — bałamuci. Czytasz n. p. piękny opis uroczystości poświęcenia chorągwi dziatwy szkolnej lub coś podobnego w tej a tej miejscowości, przytoczono ci podniosłe mowy, wysławiano dobrodziejów dziatwy i t. p. Każdy czytając myśli: „Świe-tne! wyborne!“ — Rzeczywiście tak,

tylko dla Niemców, bo „Gwiazdka“ opisała „po polsku“ ceremonię niemiecką, niemieckie mowy, całą rzecz obliczoną na niemożenie polskich dzieci lub polskiej ludności, nie dodawszy jednego najważniejszego słówka, że to wszystko co spisuje, było po niemiecku i działa się dla postępów germanizacji.

O innych pismach cóż powiedzieć? Ciekawych odsyłam do broszurki *Świdry*: „Odrodzenie Śląska“, który słusznie nazwał Micheydowe pisma poświęconemi szerzeniu wyłącznie luteranizmu, a dodatek polityczny — do nich, bez treści, znaczenia i celu.

Notatka nasza skończona. Oto 30 punktów, z których 23 ujemnych, zawierających to, co trzeba zaniechać a robić inaczej, a 7 dodatnich wskazujących co i jak należy robić, aby nawet bez ofiar i składek odrodziło się księstwo Cieszyńskie.

Trzydzieści punktów bez których przeprowadzenia niemczyzna będzie ciągle robić postępy, aż chyba Cieszyn stanie się podobnym do Wrocławia i Berlina.

Soiśle biorąc, do przeprowadzenia wszystkich tych rzeczy, które wykazaliśmy, nie potrzeba nadzwyczajnych składkowych funduszków i cią-

głego odwoływania się do „ofiarności patryotycznej rodaków“. Lud śląski pod względem materyalnym, acz ma się nie świetnie i bywa, jak często, wyzyskiwany przez wielkie przedsiębiorstwa, przecie w porównaniu do Galicyi ma się znowu nie gorzej — a ofiarność jego jest notoryczną.

Ślązak zawsze i chętnie „da“ — ale na to, co trafi do jego przekonania i serca. Dowodem tego, że sami Ślązacy utrzymują „Związek“, towarzystwo bł. Sarkandra do wydawania książek, czytelnie i Kółka, których tu jest razem najwyżej 20.

Lud więc polski na Śląsku da — ale potrzeba, aby zrozumiał, że to, na co ma dać, jest rzeczywiście pożyteczne i dobre. Tak tedy wątpliwości nie ulega, że Śląsk austriacki tak samo jak pruski „odrodziłby się o własnych siłach“, gdyby, powtarzamy raz jeszcze, prowadzono tu sprawę narodową na seryo, gdyby zabrano się do wykonania programu pracy narodowej zawartego w tych 30 punktach, które wyliczyliśmy.

IV.

Czy samo polskie gimnazyum w Cieszynie Ślązak zbawi?

„Polskie gimnazyum w Cieszynie to rzecz najpilniejsza, najważniejsza i najpotrzebniejsza“. Taki dogmat wypowiedzieli kierownicy sprawy narodowej na Ślązku i cała Polska krząta się około tej sprawy.

Z góry oświadczyć muszę, że nie tylko przeciwnikiem polskiego gimnazyum w Cieszynie nie jestem, ale i owszem chcę, aby ono powstało. Toć przecie rzecz naturalna, że ludność 200-tysięczna polska potrzebuje szkoły średniej polskiej i to nie jednej, ale więcej. Polskie gimnazyum powinno być nie tylko w Cieszynie, ale i w Bielsku.

To jednak twierdzę stanowczo, że polskie gimnazyum nie jest na Ślązku „sprawą najpilniejszą i najpotrzebniejszą“, — a dowodów na to po tem, co przedstawione było w poprzednich arty-

kułach właściwie nie potrzebaby było dawać, bo każdy rozumny człowiek, patrzący na rzeczy zdrowo i praktycznie, przyzna, że wyliczone przez nas 30 punktów programu pracy narodowej na Śląsku są daleko ważniejsze, pilniejsze — ba, i łatwiejsze do spełnienia. „Na cóż — pytają oni — będzie właściwie to gimnazjum polskie, kiedy u nas wszystko i wszędzie po niemiecku?“ I dalej: „A cóż my z dziećmi będziemy robić, jeżeli poszłemy je do polskiego gimnazjum? One się tam tyle, ile potrzeba u nas, po niemiecku nie nauczą i skończywszy szkołę i zdawszy maturę, dopiero wiedzieć nie będą, gdzie się obrócić i do jakiego zawodu zabrać, skoro u nas wszędzie nie byle jaka, ale gruntowna znajomość języka niemieckiego jest potrzebna?“ Tak rozumują polscy rodzice i mają rację. Ta też jest przyczyna, że do idei zakładania polskiej szkoły średniej lud śląski wcale się nie pali, widząc, że on sam z polskim językiem nie daleko tu zajdzie, a więc jego dziecku będzie tak samo.

Pilniejsze tedy wyzyskać to, co tu „prawo“ przyznaje, mianowicie że język polski jest „drugim językiem krajowym“, a więc wnosić do urzędów wszystkie pisma po polsku, zmusić i

wykołatać to u rządu, aby na takie pi-
sma dawano odpowiedzi polskie, a wte-
dy staną się dwie rzeczy: Najpierw lud
będzie wiedział, że i sam język polski
wystarczy jemu i dzieciom jego. Po-
wtóre urzędy będą potrzebowały refe-
rentów polskich, a więc uczeń z pol-
skiego gimnazjum będzie potrzebny
i znajdzie stanowisko.

Bez tych danych, polskie gimna-
zjum Ślązka nie uratuje.

To bowiem, cośmy w owych punk-
tach wyliczyli, obejmuje „całą po-
wszechność” objawów życia naro-
dowego, odnosi się do wszystkich
warstw ludności śląskiej i do wszy-
stkich objawów życia społecznego, za-
łożenie zaś polskiej średniej szkoły jest
tylko małą częścią tego życia,
zaspokoi potrzebę kilkuset rodzin, a
uratuje, a raczej pomoże do nauki ty-
łu młodzieńcom.

A dalej zaczynać odrodzenie Ślązka
od zakładania polskiego gimnazjum
w Cieszynie, to znaczy już nie tylko
budować od dachu, ale powiedziałbym
jeszcze budować ten dach na piasku.
A gdzież są szkoły ludowe polskie?
gdzie ochronki? Wszakże do szkoły
średniej polskiej przyjdzie dziecko ze
szkoły ludowej, a jeżeli ta jest nie-
miecka, jeżeli uczeń z tej niemieckiej

szkoły przychodzący nie będzie musiał ani czytać, ani pisać, ani mówić poprawnie po polsku, słowem nie będzie do niej należycie przygotowany, to po otworzeniu I. klasy pokaże się, że trzeba ją albo zamienić na kurs przygotowawczy, albo kurs przygotowawczy dla wyuczenia i wyćwiczenia w polskim języku urządzić.

Zresztą przemienienia szkół ludowych wiejskich w księstwie Cieszyńskim na rzeczywiście polskie, a do założenia szkoły ludowej polskiej w Cieszynie mamy już prawo, można dokonać bez nakładu ofiar publicznych, a tego się nie żąda, ani nie robi, ani o to nie upomina i nie stara. Na jakiejże tedy zasadzie odezwać się przyjdzie do rządu o koncesyę na szkołę polską średnią?

A praktyczni włościanie śląscy jeszcze co innego słusznie mówią.

Ale rozważyć jeszcze wypada, jakie argumenty podają kierownicy sprawy narodowej na Ślązku, wołając: „Pomagajcie nam zakładać gimnazyum!“ Powiadają tedy najpierw: „My inteligencji polskiej nie mamy! Bez niej niepodobna jest walka o prawa narodowe. Polskie gimnazyum da nam polską inteligencyę — a wtedy będziemy się skutecznie bronić!“

Argument ten byłby słuszny, gdyby nie był oparty na nieprawdziwym twierdzeniu. A jest to tem dziwniejsze, że ci kierownicy sprawy narodowej na Śląsku, podając taki argument, czy siebie samych nie widzą, czy też mimowolnie się przyznają, że oni są do niczego. Boć przecie oni są dziś właśnie „tą inteligencyą“, która ma być stworzona! A czy rzeczywiście jest tak mało, że sami nic zrobić nie mogą? I to nieprawda! Wszak księży samych i pastorów, co się do „narodowców“ sami zaliczają, jest tu co najmniej 50; toć przecie na trzy powiaty i około 100 parafij katolickich nie jest tak mało? A oprócz tego jest w każdym mieście dziś już na Śląsku albo notaryusz albo adwokat, albo aptekarz lub tp., rodowici Polacy, i to często w Galicyi.

Weźmy np. sam Cieszyn. W kasie zaliczkowej sama inteligencya polska, będzie ich z pięciu; adwokat i poseł Michajda szósty; nauczyciel w sem. żeńskim, Brzeski siódmi; sędzia Dąbrowski ósmy; dwu notaryuszów Polaków, to już dziesięciu; koncypient adwokacki Kusionowicz jedenasty, a księża i sam poseł ks. Świeży, ks. Łondzin i inni? Czyż to na oficerów, że tak powiem, mało?

Toż w początkach był tu sam jeden Paweł Stalmach, ale że ten brał się do roboty, więc ileż to on sam zrobił, nie czekając na przyrost inteligencji?! A jak w Cieszynie, tak w każdym tu miasteczku, a nawet po wsiach, gdzie są zakłady przemysłowe, jak np. w Karwinej, znajdzie się podobne kółko polskiej inteligencji. Na kogoż oni czekają, aby zacząć coś robić i czemu dziś siebie nie widzą?

Wszak „polska inteligencja“ potrzebna tu tylko, jak powiedziałem, chyba na oficerów, bo masy wojska są — tylko je uszykować i wprowadzić do boju. W pułku przecie oficerów nie trzeba setek, ale wystarczy kilkunastu, byle dobrych, odważnych.

Wszakże jest jeszcze ważniejszy wzgląd, który dowodzi, że ten uniwersalny okrzyk: „zakładajmy polskie gimnazjum!“ jest łudzeniem siebie.

Powiedziano: „Kto ma szkoły, ten ma przyszłość!“ I to jest prawda. Ale trzeba uważać, że powiedziano najpierw: kto ma „szkoły“ — a nie kto jedną średnią polską szkołę. Więc jeżeli szkoły ludowe zostawia się dobrowolnie w obcych rękach, a dobija się o jedną średnią, to i tak nie zapewni to przyszłości. A powtóre powiedziano dobrze, że szkoła dopiero „przy-

szłość" daje. Bo zanim ze szkoły dziecko wyjdzie skończonym człowiekiem, nim się dobije stanowiska, to trzeba na to lat, trzeba jednego pokolenia!

Przypuśćmy tedy, że się spełnia to wołanie i przy wysiłku polskiej ofiarności, staje to polskie gimnazjum. Przypuśćmy dalej, że pierwsza klasa będzie otworzoną już w r. 1895, że znajdzie uczniów, że potem stopniowo otwierane będą następne klasy — słowem, że wszystko pójdzie jak z płatka i gimnazjum polskie w Cieszyńie rozwija się świetnie.

No i cóż? Pożytek z tego gimnazjum okaże się co najmniej dopiero za lat 15 lub więcej. A tymczasem co? Wszystko co tu się dzieje, ma zostać po staremu? Przez tych lat 15 lub więcej, germanizacya cisnąca się przez wszystkie szkoły ludowe wiejskie i miejskie, przez urzędy, nawet kościoły ma dalsze robić zdobycze? Zaprawdę strat przez te lata poniesionych już i ta inteligencya, co kiedyś z polskiego gimnazjum wyjdzie, nie odbije!

A tu na Ślązku nie o same przyszłe pokolenie chodzi, tu trzeba i można wspierać i ratować pokolenie żyjące, tu, jakośmy wykazali, można i potrzeba działać we wszystkich sferach

i we wszystkich warstwach, zaraz, bez odwłoki, — i taka praca odrodziłaby za lat kilka Śląsk, i zmusiłaby w danym razie rząd do założenia gimnazjum z państwowych funduszków.

Czy szkoły same potrafią bowiem wynarodowić? Wszak miała je Galicya przez długie lata, a przecie się nie wynarodowiła! Ma je dziś Królestwo i Wielkopolska, a przecie liczba renegatów, czy wynarodowionych, nie jest tak wielką. Ma je Śląsk sam od wieków, a przecie jeszcze nie zginął zupełnie. O! bo gdy w ognisku domowym jest duch narodowy, gdy w ludności żyje miłość ojczystego języka, to obca szkoła dziecię umęczy, ale „ducha nie zgasi“, owszem często podnieci.

Ja wyznam otwarcie, że poznawszy śląskie stosunki, nie tyle się obawiam szkół niemieckich — ile właśnie tego fałszywego, szkodliwego i nader zgubnego postępowania, które wykazałem w 30 punktach. Polacy, przyznając niemczyźnie jakąś wyższość w towarzyskiem i publicznem życiu i posługując się ciągle niemczyzną — oni to zagrażają ognisku domowemu, osłabiają cześć i miłość dla ojczystego języka — i tu jest prawdziwe niebezpieczeństwo dla sprawy narodowej. Nie Niemcy nam grożą i nas

gubią, ale my sami, stając się dobro-
wolnie przez pół Niemcami.

A że tak jest, to okazuje samo dzi-
wne „słownictwo“ — jakim się
tutejsi przewodnicy posługują. Tu nie
mówi się, np.: „My Polacy!“ — ale my
„polscy Ślązacy“. Tu nie nazywa się
ktoś, o sprawę narodową dbający:
„Polakiem, patriotą“ lub podobnie, ale
ukuto na to osobny wyraz „narodow-
wiec“.

Brak tu tej miłości i szacunku dla
Polski i zapału dla obrony sprawy na-
rodowej — a zgoła strach przed ewen-
tualnem złączeniem z Galicyą w jaki-
kolwiek sposób.

Z wszystkiego zaś, cośmy dotych-
czas przedstawili, nasuwa się samo przez
się pytania: „w jaki sposób i czem da
się wytłumaczyć to dziwne postępowanie
tutejszych przewodników narodo-
wych? i dlaczego oni z takim naci-
skiem wysunęli naprzód sprawę polskie-
go gimnazyum w Cieszyńnię?“ Dzieje się
to dlatego, ponieważ czują oni, iż coś
robić wypada, a nie chcąc robić tego,
co można, i potrzeba, łudzą siebie
tem, że robią polskie gimnazyum.

Dobrze, róbcie polskie gimnazyum
ale czyż po za tem niema tu nie do
zrobienia? lub czy obok tego nie mo-
żna robić równocześnie coś więcej? Je-

żeli zbieranie składek jest pracą, to kasjerka siedząca w sklepie i odbierająca pieniądze, mogłaby mówić, że ona „sprzedawała“ tyle a tyle towarów.

Kończymy zaś, proponując rezolucję taką dla wszystkich rodaków, zajmujących się tak szczerze i serdecznie sprawą Ślązka:

„Utworzyć należy towarzystwo lub komitet „Pomocy narodowej dla Ślązka“ całego, tj. pruskiego i austr.— który w swoim ręku zgromadzać będzie ofiary całej Polski na wspomaganie spraw śląskich.

Ten komitet „Pomocy narodowej Ślązka“ biorąc za podstawę wszystko co tu przedstawiano, zbada prawdziwość przytoczonych faktów, i

a) Sprawie narodowej na Ślązku nadać się będzie starał właściwy kierunek,

b) Fundusze na poparcie spraw narodowych będzie rozdzielał w miarę uznanej nagłości i potrzeby“.

Sądzymy, że myśl, którą rzucamy, powinna trafić do przekonania każdego roztropnie na sprawę patrzącego człowieka. Zresztą konieczność takiego towarzystwa poza Ślązkiem i Cieszyńem, zdaje się nie ulegać wątpliwości.

A Niemcy dali nam w tej mierze już przykład. Istnieje we Wiedniu

„towarzystwo ku popieraniu germanizacyi Ślązka“. Do tego towarzystwa należą bardzo wysoko postawione — i jak to zwykle w parze chodzi — bardzo bogato uposażone osobistości. Zarząd tego towarzystwa czuwa i wykonuje kontrolę nad wszystkim, co się robi dla germanizacyi Ślązka i rozdziela subwencye w miarę potrzeby, zasług lub niebezpieczeństwa.

Tak i rodacy z Galicyi i innych prowincyj zrobić powinni.

V.

Co się robi prawdziwie na Śląsku ?

W badaniu stosunków śląskich musimy zrobić małe *intermezzo*, aby podnieść i przytoczyć to, co się tu robi rzeczywiście dla sprawy narodowej.

Będzie to dowodem, że nie wszystko tylko czarno widzimy, ani też nie co do wszystkich zarzut „bezrobocia“ podnosimy. Równocześnie posłuży to do ściślejszego określenia sfer i kółek, do których zarzut ten całkiem słusznie i prawdziwie się odnosi.

A więc robi się tu nieco dla sprawy narodowej, najpierw w czytelniach, wyjąwszy Czytelnię ludową cieszyńską, o której już wspomieliliśmy i do której jeszcze powrócimy.

Czytelnie takie istnieją od lat dawnych w Skoczowie i w Jabłonkowie, a w ostatnich latach założono je też w Frysztaku, Łazach, Michałkowcach i Karwinie. Czy jeszcze gdzie jest jakie towarzystwo lokalne pod nazwą czytel-

ni, nie wiem; te są najruchliwsze. W Skoczowie duszą czytelní jest p. Wojciechowski, mieszczanin, w Jabłonkowie adwokat dr. Kreisel, w Frysztaku notaryusz dr. Kasprzak, w tamtych stygarze Polacy.

Dwie pierwsze jednak mają cechę poniekąd mieszaną, bo bywają tam polskie i niemieckie zebrania, przemowy i t. d., tudzież książki polskie i niemieckie; inne czytelnie wymienione, o ile mi wiadomo, nie mają takiej cechy, są jednak dopiero niedawno założone i jeszcze się nie miały czasu ani rozwinąć, ani wywrzeć większego wpływu.

Po czytelniach idą „Kółka rolnicze“, których tu jest kilkanaście, a każde z nich tworzy odrębne dla siebie towarzystwo. Znamiennem jest, że niektóre „Kółka“ dodają w nazwie cechę: „polsko-katolickie“ co dowodzi, że społecznie nawet w tym gospodarczym kierunku nie jest możliwą wspólna praca katolików z ewangelikami. Dlaczego tak jest, w dalszym ciągu wykażę. Oczywiście przy „Kółkach“ istnieją też czytelnie, mniej lub więcej zasobne, ale sklepiku tu, o ile mi wiadomo, żadne Kółko nie ma. W katolickich Kółkach pracują przedewszystkiem księża, a do najruchliwszych należą księża: dziekan Paźłowa i Duś.

Zliczywszy razem czytelnie i kółka, nazbierałoby się około trzydzieści małych ognisk, gdzie, jeżeli się nie pali, to tleje i jest rozdmuchiwany znicz narodowy. Pracują tam wszędzie ludzie dobrej woli, ale, iż się tak wyrażę, „szeregowcy“ w walce o sprawę narodową.

Dalej, jak już wspomniano, najpożyteczniejszą czynność rozwinął był: „Związek ślązkich katolików“, który też liczbą członków ślązkich prześcignął wszystkie tutejsze towarzystwa, bo rzeczywiście zdawał się zapowiadać odrodzenie tej dzielnicy. Założycielem i duszą tego towarzystwa był i jest mons. Ignacy Świeży, poseł do Rady państwa, do sejmu i członek Wydziału krajowego śląskiego. Być może, że właśnie wskutek tego, że na ks. Świeżego spadło tyle brzemion, a na teraz większą część roku musi spędzać bądź we Wiedniu w parlamencie, bądź w Opawie w Wydziale, ruchliwość, i co za tem idzie, wpływ „Związku“ znacznie się zmniejszyły. Ale trzeba przyznać, że przecie ks. Świeży znajdzie co roku czas na odbycie bodaj kilku zebrań, a co roku wydaje „Związek“ broszurkę pod tytułem: „Poseł Związku ślązkich katolików“, w których bądź to polityczne bądź społeczne sprawy miejscowe

ni, nie wiem; te są najruchliwsze. W Skoczowie duszą czytelní jest p. Wojciechowski, mieszczanin, w Jabłonkowie adwokat dr. Kreisel, w Frysztaku notaryusz dr. Kasprzak, w tamtych stygarze Polacy.

Dwie pierwsze jednak mają cechę poniekąd mieszaną, bo bywają tam polskie i niemieckie zebrania, przemowy i t. d., tudzież książki polskie i niemieckie; inne czytelelnie wymienione, o ile mi wiadomo, nie mają takiej cechy, są jednak dopiero niedawno założone i jeszcze się nie miały czasu ani rozwinąć, ani wywrzeć większego wpływu.

Po czytelniach idą „Kółka rolnicze“, których tu jest kilkanaście, a każde z nich tworzy odrębne dla siebie towarzystwo. Znamiennem jest, że niektóre „Kółka“ dodają w nazwie cechę: „polsko-katolickie“ co dowodzi, że społecznie nawet w tym gospodarczym kierunku nie jest możliwą wspólna praca katolików z ewangelikami. Dlaczego tak jest, w dalszym ciągu wykażę. Oczywiście przy „Kółkach“ istnieją też czytelnie, mniej lub więcej zasobne, ale sklepiku tu, o ile mi wiadomo, żadne Kółko nie ma. W katolickich Kółkach pracują przedewszystkiem księża, a do najruchliwszych należą księża: dziekan Paźłowa i Duś.

Zliczywszy razem czytelnie i kółka, nazbierałoby się około trzydzieści małych ognisk, gdzie, jeżeli się nie pali, to tleje i jest rozdmuchiwany znicz narodowy. Pracują tam wszędzie ludzie dobrej woli, ale, iż się tak wyrażę, „szeregowcy“ w walce o sprawę narodową.

Dalej, jak już wspomniano, najpożyteczniejszą czynność rozwinał był: „Związek śląskich katolików“, który też liczbą członków śląskich prześcignął wszystkie tutejsze towarzystwa, bo rzeczywiście zdawał się zapowiadać odrodzenie tej dzielnicy. Założycielem i duszą tego towarzystwa był i jest mons. Ignacy Świeży, poseł do Rady państwa, do sejmu i członek Wydziału krajowego śląskiego. Być może, że właśnie wskutek tego, że na ks. Świeżego spadło tyle brzemion, a na teraz większą część roku musi spędzać bądź we Wiedniu w parlamencie, bądź w Opawie w Wydziale, ruchliwość, i co za tem idzie, wpływ „Związku“ znacznie się zmniejszyły. Ale trzeba przyznać, że przecie ks. Świeży znajdzie co roku czas na odbycie bodaj kilku zebrań, a co roku wydaje „Związek“ broszurkę pod tytułem: „Poseł Związku śląskich katolików“, w których bądź to polityczne bądź społeczne sprawy miejscowe

omawia, a w ten sposób do oświaty i uobywatelenia ludu tutejszego się przy-
czynia.

Robi się też jeszcze w „towarzy-
stwie rolniczem ślązkim“, które prze-
szłego roku obchodziło swój 25-letni
jubileusz istnienia, wystawę, z szum-
nym i rzeczywiście ładnym pochodem
przez miasto przy jej ctwarcu. Były
z tego powodu mowy (niemieckie, jak
wspomnieliśmy), a także przy powita-
niu i podejmowaniu gości z Galicyi,
polskie uczty, toasty itp. zwykłe do-
datki.

Kto jednak bacznie się przypatry-
wał wszystkiemu na tej wystawie, ten
właśnie mógł zobaczyć rdzeń złego,
który tkwi tu w działaniu tych, któ-
rzy przewodniczą w sprawach narodo-
wych.

A więc widział najpierw, że wszę-
dzie szanowano z największą ścisłością
urzędową wprawdzie, ale, wedle prze-
konań polskich, niezgodną z rzeczywi-
stością ani ze słusnością zasadę, że
język polski jest na Śląsku „drugą
dopiero mową krajową“. Naj-
pierw, gdzie jest 41 tysięcy Niemców,
a 177 tysięcy Polaków, tam przynaj-
mniej polski język powinien być „pier-
wszą“ mową krajową — a właściwie
nazywaćby się miał „biurową czy urzę-

dową" mową. Lecz na wystawie napisy wszystkie nieomal były niemiecko-polskie — i z zasady pierwszeństwo dawano językowi niemieckiemu.

A dalej, na tej wystawie kto był reprezentowanym? Kto, jak się okazało, należy do tego „towarzystwa gospodarskiego" i nadaje w niem ton i kierunek?

Wiadomo, jak jest w innych działach Polski. Towarzystwa rolnicze przedstawiają nasze ziemiaństwo, warstwę, z którą można nie we wszystkim się zgadzać, ale której sprawiedliwość nakazuje oddać to, że przechowuje ducha narodowego, szerzyła go ongi wyłącznie w innych warstwach, a kieruje się w działaniach własną tradycją narodową i rodową. Toż czy to w Królestwie, czy w Galicyi, czy w Wielkopolsce, towarzystwa rolnicze z ziemian złożone, wywierały i wywierają wpływ niemały i w kierunku narodowym.

Jakżeż jest na Śląsku? Kto stanowi to towarzystwo rolnicze i jaki ono wpływ wywiera? Przypominać nie trzeba, że tu ziemiaństwa polskiego nie ma, że obszary, o ile nie należą do lenna arcyks. Albrechta, są w rękach obcych, wielkich posiadaczy, którzy do towarzystwa rolniczego nie chcą, ani nie potrzebują należeć. A więc zdawa-

łoby się, że członkami towarzystwa muszą być chyba chłopi. Juście mówi się tak nawet, bo przewodnicy towarzystwa „dla demokracji“ i wybitniejszego przedstawienia: „co to oni za chłopi“, lubią się nawet tak nazywać. Wszakże dla zrozumienia rzeczy wiedzieć należy, że tu wśród ludności rolnej bardzo ściśle zachowały się i nomenklatura i różnica społeczna. Otóż są tu najpierw t. zw. siedlacy tj. wielcy gospodarze, mający po 60, 80, 100 i więcej mórg ziemi; za nimi idą zagrodnicy, chałupnicy, komornicy i robotnicy, wedle tego, ile który ma posiadłości.

Owoż „siedlacy“ to właściwie to, co zagraniczni „farmerzy“, albo jak u nas mawiają „folwarczni“ panowie. B. Świda w swojej broszurce „Odrodzenie Ślązka“, nazwał ich, nie wiem, czy trafnie „burżuazją rolną“ i zauważał, że ona „kiedyś“ może się stać pożytecznym czynnikiem narodowym.

Ta druga uwaga jest bez wątpienia trafniejszą, bo dziś ta burżuazya rolna na Śląsku, ci posiadacze „folwarków“, czynnikiem narodowym, pożytecznym poza sobą, nie są. Brak im szczerzej, polskiej tradycyi narodowej, która się przez długie wieki oderwania od Macierzy zatraciła; brak też tradycyi ro-

dowej i tego poczucia obowiązku, wywierania błogoczynnego wpływu na resztę społeczeństwa.

A ma ona dwa braki: najpierw są to przeważnie, jeśli nie wyłącznie, ewangelicy, do których ludność katolicka polska „więcej“ aniżeli do Niemców zaufania nie ma, a powtóre, znamionuje je rażące sobkostwo i niepomierna żądza wyłącznego wpływu. Więc robi się w tem towarzystwie, ale robi dla siebie i ściśle, że nie powiem w materyalnym, to przynajmniej w ekonomicznym kierunku, ograniczającym się na zamknięte kółko członków, należących do towarzystwa gospodarskiego.

Lud rolny biedniejszy, a przemagający, rzecz naturalna, liczbę panów folwarcznych, do tego towarzystwa nie należy, ani zaufania do niego nie ma; lud nadto katolicki wprost od niego stroni.

Toż na owej przeszłorocznej wystawie towarzystwa rolniczego śląskiego, przebijała nawet tendencya wykluczenia rolników katolików od udziału, a oprócz burżuazyi rolnej śląskiej, nie było nikogo z rolników-włościan.

Mimoehdem warto wspomnąć i o tem, w jaki to sposób bierze się też

tu czasem ludzi na kawał. Ilekroć się trafią goście z którejkolwiek strony Polski, wiedzie się ich do naszych „ślązkich chłopów“. A że jeden z nich, a do tego bezdzietny, mieszka niedaleko, więc się jedzie do „chłopa“ i podziwia murowane budynki, stajnie, chlewy — ba, nawet powozy! Oczywiście każdy oszołomiony, co to chłop „ślązki“ umie i może. Nie dodano tylko jednego, ile ten tak zwany chłop ma ziemi — ani nie zaprowadzono do niedalekiej może chałupki, gdzie żyje zagrodnik lub ochałupnik, podobniuteńki pod każdym względem do przeciętnego chłopca w innych stronach Polski.

Ażeby uzupełnić obraz tego, co się tu jeszcze robi, wspomnieć wypada, że jest tu towarzystwo bł. Sarkandra do wydawania katolickich książek, które kupiwszy dom, od kilku laty robotę ogranicza prawie do spłacania długów. Po książeczkę co rok wyda, ale te nie odznaczają się ani doborem ani językiem.

„Pomoc naukowa“ rozdaje trochę zapomóg uczniom, zresztą rozporządza nieznaczniemi funduszami.

Śladów i skutków innej dodatniej pracy tu nie widać, a to wszystko, cośmy tu wyliczyli dowodzi, że to, co

się tu rzeczywiście robi, jest zasługą msgr. Świeżego i kilku rozrzuconych po Śląsku ludzi dobrej woli, wcale zaś nie należy do tych, którzy wziąć chcą w swe ręce monopol patryotyzmu. Owszem, jak zobaczymy dalej, po Śląsku rozrzućeni pracownicy możeby robili więcej i dzielniej, gdyby — no, gdyby tu było trochę inaczej.

VI.

Czemu na Śląsku nie ma prawdziwej narodowej pracy?

Pierwszą przyczyną, dlaczego na Śląsku austriackim nie ma tej prawdziwej pracy narodowej, którą zestawiliśmy w owych trzydziestu punktach jest to, że tu nie ma żywej, gorącej tradycyi polskiej. Lud na dnie duszy lgnie do Polski, przebudza się po wiekowym śnie, ale niemczyzna go obsiadła do koła. Spotyka ją w kościele, w szkole, w urzędzie, w zetknięciu z wyższemi warstwami, czuje się nią przygnęcionym — więc myśli, że to już tak być musi, a lud wszędzie jest trochę fatalistyczny.

No, a przewodnicy? Wskazaliśmy już poniekąd, jak robią, a i o nich w znacznej części powiedzieć trzeba, że nie mają tradycyi polskiej. „Tu już to tak jest“ — mawiają, jak ów poseł, a nadto i w niby patryotach jest dużo,

za dużo jakiejś „ślązkiej odrębności“. „My Ślązacy! my narodowcy!“ — słyszy się tu ciągle aż do przesytu, co tak wygląda, jak gdyby np. we Lwowie mówiono: „My Galicyanie“, w Krakowie: „My Krakowiacy“, w Poznaniu: „My Wielkopolanie“, a w Warszawie: „My Mazury“. A dodać i to trzeba, że jak już potracono, do Galicyi w szczególności nikt tu zbytniej nie czuje sympatii. Choć w gruncie rzeczy nie wiele tu lepiej, a może nawet nie — dość, że galicyjskie stosunki się nie podobają. Stąd duchowieństwo katolickie całkiem szczerze nie życzy sobie przyłączenia do krakowskiej diecezji, a burżoazya rolna tak samo nie chciałaby faktycznie stracić swego stanowiska „quasi-szlacheckiego“ wobec szlachty narodowej. Ludowi podoba się Kraków i Kalwaria.

A oprócz tych społecznych względów są jeszcze inne, dla których zrozumienia trzeba nam nieco sięgnąć do przeszłości i historyi ruchu narodowego na Śląsku.

Wiadomo, że go obudził dopiero Stalmach przed niemal 50 laty. Zaczął on odważnie i energicznie — i czego niepodobna unikać — musiał się zobaczyć z tak zwaną kozą około r. 1850 czy trochę później. Zabawne, z jakim

przerażeniem Stalmach zawsze o tem opowiadał i jak święty respekt miał odtąd przed kozą! Wszystko gotów był robić, byle go znowu nie zamknęli.

Więc też pisał i dopominał się szczerze i bez obłudy, ale zawsze grzecznie. Robił i poświęcał się bezinteresownie, ale zawsze: ostrożnie z ogniem! Może ta jego przezorność przelała się po części i na tych, którzy pod jego ręką się wyrabiali, ale ona sama jeszczeby nie tyle szkodziła, choć doświadczoną jest rzeczą, że np. na Ślązku górnym, który ocucił się w jakie 20 lat później po Ślązku austriackim, jeżeli dziś daleko większe widać postępy, to dlatego, że przewodnicy mieli więcej odwagi i nie lękali się niczego dla dobrej sprawy. Siedział Miarka, siedział ks. Radziejewski, siedzieli wszyscy redaktorowie „Katolika“, a p. Maćkowski, redaktor „Nowin Raciborskich“, podobno jeszcze odsiaduje trzymiesięczne więzienie. Lud lgnie do redaktorów, którzy „za gazety“ siedzą w kozie i z nimi razem nabiera odwagi.

Lecz, jak powiedziałem, lękliwość Stalmacha opóźniała ocucenie się i nabranie śmiałości u ludu, lecz nie krzywiła pracy narodowej.

Przyszli na Ślązk tacy, którzy robotę Stalmachową skrzywili i na dwa-

dzieścia lat — powtarzamy na dwadzieścia lat — zatamowali jej postęp całkowicie. Zjawiła się mianowicie spółka, która zapewne na przykładem Poznania, chciała w Cieszynie zakładać: „Bazar narodowy“ na akcyje, jako przedsiębiorstwo handlowe, dla wytworzenia, jak wtedy mówiono, „polskiego handlu“.

Skoro wiedziała Polska, że Stalmach był bądź co bądź odnowicielem ducha narodowego na Ślązku, skoro on faktycznie w nim wówczas stał na czele jako pierwszy i jedyny redaktor polski, cóż naturalniejszego, jak żeby założyciele bazaru byli z nim działali zgodnie i słuchali jego rady, jako męża doświadczonego, a nieposzlakowanej bezinteresowności. Ale tego nie zrobili. Nie będę przytaczał tego, co w stosach swoich obron i broszur pisze o tej sprawie Stalmach. Treść krótka sprawy jest taka: Między inicjatorami i założycielami bazaru a śp. Stalmachem przyszło do zaciętego sporu, który, jak to zwykle bywa, w końcu po jednej i po drugiej stronie przekraczał wszelkie miary przedmiotowości a nieraz i — grzeczności. Zrazu uległ i pokonany został Stalmach. Po stronie bowiem przedsiębiorców bazarowych stanął p. Ignacy Żółtowski, a

po jego znów stronie *Czas* oraz inne pisma z Galicyi. Siła była większa i pieniądze były — podobno 18 tysięcy, więc Stalmach bez pieniędzy i ze samą swoją *Gwiazdką Cieszyńską* uleść musiał, a w dodatku bazarowi akcyonariusze napoili go goryczą, która go do grobu nie opuściła, a która też może wpłynęła na to, że Stalmach i wielu ludzi dobrej woli, a znających bliżej sprawę, zrazili się do Galicyi, iż w tym wypadku, naubliżawszy nieraz Stalmachowi, stanęła po stronie przedsiębiorców bazarowych.

P. Ignacy Żółtowski, który działał w najlepszej woli i z czystego poświęcenia, dużo grosza utopił w bazarze, padł tu ofiarą ślepej wiary w człowieka, który na nią może nie koniecznie bezwzględnie zasługiwał.

Lecz Stalmach pokonany w sprawie bazarowej przez przeciwników, doczekał się lepszej satysfakcyi, która go wprawdzie zadowolić mogła jako człowieka, ale zawsze bolała jako patriotę. Wszystko, co Stalmach twierdził i powiadał, ziściło się co do joty. „Patrioci, pragnący tylko jeść z misy narodowej“ jak się złośliwie, ale dobitnie wyrażał Stalmach, tak gospodarowali bazarem i spółką, że wszystkie pieniądze publiczne, włożone

w tę sprawę, przegospodarowali. Budowano bazar i, jak mówią, dano się oszukać; założono sklep, no — i znowu dano się oszukać! Zamiast coś robić, kłócono się na zabój, a chcąc się ratować, wołano do rodaków o pieniądze, a wszystkie one tonęły w tym interesie, źle i nieopatrzenie prowadzonym.

Koniec wiadomy. Bazar przed dwoma laty sprzedano, a pieniądze wszystkie poszły na marne. Ale o pieniądze byłoby mniejsza; gorsze to, że skompromitowano sprawę narodową wobec obcych, a w łonie polskiej tu-tej-zej społeczności zasiano niezgodę domową i nieufność do przewodników jakoby narodowych, którzy złamawszy i usunawszy na bok Stalmacha, dla ratowania swego honoru nie chcieli i nie chcą do dziś dnia puścić z rąk przewodnictwa, do którego, zda się, nie dorosli.

Dwadzieścia lat trwała walka za życia Stalmacha, a dzisiaj, chociaż główny przeciwnik umarł, żyje niezgoda, rośnie nieufność do tych, którzy go usunęli i pod pewnym względem złamali, a sprawie narodowej fałszywe nadali tory. W dodatku spółka bazarowa do tego czasu, acz często publicznie wzywana, nie spełniła kardynal-

nego warunku: „zdania sprawy ze swoich czynności i wyrachowania się z publicznego grosza“. Rodacy dawali pieniądze na akcye, ale nie dla zysku, lecz dla poparcia sprawy narodowej. Powiedzieć „akcye odpisano“ — to jest za mało; powiedzieć: bazar była to sobie „spółka prywatna“ jest nieprawdą.

Spółka bazarowa, dalej, skompromitowawszy raz rzecz przed obcymi, u nich, jak u samych swoich straciła na powadze i zaufaniu. Tutejsze zniemczale, lub niemczące się mieszczaństwo i lud śląski nigdy nie ruszą się do jakiejś pracy narodowej, póki na jej czele zechce się, *coute que coute*, utrzymywać spółka bazarowa.

Wreszcie spółka sprowadziła sprawę narodową na fałszywe tory. Składa się ona z kilku osób ewangelicko liberalnych zasad (biorąc to słowo w wyznacziowem znaczeniu). Zważywszy, że na Śląsku jest na 177 tysięcy katolickiej, polskiej ludności, tylko 70 tysięcy ewangelików, a z tego jakaś część Niemców, nigdy ludność polsko-katolicka, ani duchowieństwo katolickie, nie pójdzie pod przewodnictwem ewangelicko-liberalnem i usiłującym „to piętno wycisnąć“ na ruchu narodowym tutejszym.

Jakże inaczej robił śp. Stalmach budząc tu ducha polskiego? Choć sam ewangelik, tak pisał, że nigdy nikt nie mógł ani przypuszczać, że to pisanie nie katolik; a tak postępował, że i katolików do siebie pociągał. Obecnie narzucający się przewodnicy, pukają wszędzie „przed narodowością luteranizmu“, pismami go propagują, w mawiając nawet w innych rodaków, że katolicy nie są „narodowcami“ lub uderzając nawet bez przyczyny na kardynała Koppa, jakoby on głównie szkodził sprawie narodowej. Póki to trwa, wszystkie siły trawic się będą na wewnętrznej demowej wyzłaniowo-społecznej walce, a życie narodowe nie rozwinie się tu należycie. Więc przedewszystkiem ustąpó winna „spółka bazarowa“ i oddać dalszą gospodarkę w ręce innych przewodników

VII.

Katolicy i ewangelicy.

Ze na Ślązku austr: jedna nieomal trzecia polskiej ludności pozostała luterską, należy to do smutnych skutków odłączenia od Polski. Książęta cieszyńscy nie tylko się zniemczyli, ale też pod względem religijnym poszli za prądem reformacyi. Znana a dziś powszechnie potępiona zasada: *cujus regium ejus et religio*, sprawiła, że lud poddańczy podstępem lub gwałtem przeprowadzili na luteranizm. Przechowuje się tu tradycja, że po śmierci lub wygaśnięciu katolickich proboszczów, zwanych „farażami“, „paterkami“, posyłali do gmin predykantów i pastorów, którzy przybierając tę samą nazwę „farażów“ i zachowując zewnętrźnie mnóstwo katolickich obrzędów (co się i dziś jeszcze praktykuje) przeprowadzili lud „bezwiednie“ do „ewangelicyzmu!“ nic mu nawet zrazu nie wspominając o Lutrze.

W ten sposób w Księstwie Cieszyńskim pozostała największa po Prusiech wschodnich część ludności przy tak zwanej reformacyi. Jest tu ewangelików, Niemców i Polaków 70 tysięcy! Niemieckie rządy i odłączenie od Polski stan ten utrzymało.

Pomijając przeszłość, zobaczmy jak było, gdy śp. Stalmach podniósł sztandar narodowy. Sam Stalmach był ewangelikiem (nawrócił się dopiero przed śmiercią) ale przedewszystkiem czuł się Polakiem i pragnął odrodzenia polskiego ducha, więc do tej pracy się zabierając, nie tylko wcale z wyznaniem swoim się nie ɤfiszował, ale co więcej tak pisał i działał, jak gdyby był katolikiem. To też w początkach jego działania w publicznem ɤyciu wcale wad̄n jakaś wyznaniowa nie miała miejsca, owszem cały polski lud katolicki i całe jego duchowieństwo stało przy Stalmachu i jego *Gwiazdce Cieszyńskiej*. Tak też było aż do owej nieszczęsnej kłótni z powodu gospodarki bazarowej.

A w czasie tego sporu, co widzimy? Przy Stalmachu ewangeliku stoi lud katolicki, wspierający stałe jego pismo, stoi duchowieństwo katolickie, przekonane o słuszności jego sprawy — a po przeciwnej stronie występują nowi działacze „ewangelicko-liberalni“, których

z nieświadomości prawdopodobnie popierał *Czas* i inne pisma galicyjskie.

Od czasu tego sporu zwolna waśń, z początku osobista pomiędzy Stalmachem i jego przeciwnikami, przybiera charakter wyznaniowy, bo nowi działacze chcą nie tylko zwyciężyć osobie śp. Stalmacha, ale też zmienić jego kierunek w pracy narodowej, nadając mu jeżeli nie wyłącznie ewangelicki charakter, to przynajmniej cechę supremacyi ewangelicko-liberalnej.

Dwadzieścia lat, jak wspomniano, trwają te wewnętrzne wysiłki o zdobycie steru w sprawach narodowych pomiędzy jedną i drugą stroną. Stalmach pokonany w sprawie Bazaru i Czytelni ludowej, walczy w piśmie przeciw tym instytucyom wytrwale, ale do ostatniej chwili — on, ewangelik — trzyma stronę katolickiego ludu i duchowieństwa, w jego ręce oddaje swoją *Gwiazdkę*, a przed śmiercią sam zostaje katolikiem.

Przeciwnicy śp. Stalmacha nie czynami, ale pisaniem, wołaniem, urojonymi zarzutami zyskują tyle, że nieświadomi spraw i stosunków miejscowych rodacy, łożą na Bazar, Dom narodowy i Czytelnię ludową, a oraz uwierzyli ich twierdzeniu, że: „narodowość

polską w Księstwie Cieszyńskim wyłącznie utrzymują ewangelicy — a co katolik to przynajmniej kosmopolita, jeżeli już nie renegat“.

Oszczercza ta opinia szeroko rozpowszechnioną została, dlatego słuszną jest rzeczą przypatrzyć się, jak jest w rzeczywistości.

A tu znowu punktami rzecz uwi-docznić, aby każdy to dobrze zau-ważył.

1. Już wspomniano — i tego mi nikt nie zaprzeczy — że nim się nowi działacze pojawili, a Stalmach podniósł hasło narodowego odrodzenia, stanął przy nim cały lud katolicki i duchowienieństwo, których on nie poniżał, nie drażnił, ani przekonań ich religijnych nie tylko nie obrażał, ale owszem szanował. *Gwiazdkę cieszyńską* jak za Stalmacha tak też i dzisiaj głównie trzyma lud katolicki i duchowieństwo, a sam Stalmach otwarcie mówił, że nigdy, nawet gdy jeszcze nie istniały pisma polskie luterskie, *Gwiazdka cieszyńska* nie miała więcej nad stu odbiorców ewangelików.

2. A przypatrzmy się obecnej pracy narodowej na Śląsku. Robi się nie wiele i nie tak jakby trzeba, ale to, co się robi, to wszystko praca katoli-

ków. Czytelnie w Skoczowie, Jabłonkowie, Karwinej, Łazach itd. prowadzą katolicy — tylko jedna czytelnia ludowa cieszyńska, raczej kasyno inteligencyi miejscowej, jest w rękach ewangelicko-liberalnych. „Kółka rolnicze“ w większej połowie są katolickie i przez księży prowadzone. Najlichniesze, bo przeszło 1000 członków liczące i najskuteczniej w polityczno-narodowym duchu pracujące towarzystwo, toć przecież „Związek śląskich katolików“.

3. Weźmy dalej rzecz najważniejszą tj. wybory. Któż to przeprowadził wybór polskich posłów, z zaparciem się wyznaniowych względów, jeżeli nie lud katolicko-polski mający większość, który głosy swe oddał na jednego katolika a dwu ewangelików, byle tylko wybrać posłów polskich?

4. A przy tych wyborach, jak zapewniają ci, którzy w nich udział brali, ewangelicy właśnie już kilkakrotnie dowiedli, że im luteranizm bliższy od polskości. Przy wyborze msgr Świeżego do Rady państwa, ewangelicy zamiast wedle umowy i przyrzeczenia oddać mu głosy, jak to uczynili katolicy przy wyborach sejmowych, zaledwie coś nad 30 głosów dali ks. Świeżemu! Przy jakichś dawniejszych wyborach klęska narodowa spowodowaną tem została, że

ewangelicy głosowali za Niemcami lub renegatami.

Tegoć przecie nie zaprą lutersko-liberalni stronnicy, bo zarzut ten publicznie im uczyniła w swoim czasie *Gwiazdka cieszyńska*, a oni go niezem nie odparli.

5. Przechodzę do sprawy najdrażliwszej, do zarzutów czynionych duchowieństwu katolickiemu i ks. kardyn. Koppowi, który ma być „najzaciętszym wrogiem i szkodnikiem narodowości polskiej na Ślązku“.

Więc najpierw co do duchowieństwa samego. Wszak język polski wygnany z urzędu, szkoły i życia społecznego stanów inteligentnych, przechował się tu przez wieki — tylko w kościele. Duchowieństwo więc jedno trzymało narodowość. A to pomnąwszy, jeżeli się dziś coś robi na Ślązku, to przecie wszędzie w tej pracy jest ręka duchownych katolickich. Z msgr. Świeżym na czele idzie cały szereg nazwisk samych księży, jak: Dziekan, Duś, Paźlziara, Londzin, Matulski, Karwarski, Figwer, Firle itd. Ci dają grosz, pióro, słowo do każdej „poczołowej“ pracy. Nie wszystko to idzie, jakby być mogło i powinno, a owe 30 punktów, któreśmy wyliczyli, nie są należycie uwzględnione, ale czy

je uwzględniają ewangielicy? czy robią lepiej i więcej? Żadną miarą, jak to zobaczymy poniżej.

Duchowieństwo, powiadają, nie chce należeć do dyecezyi krakowskiej? Możnaż mu to brać za złe, wysłuchawszy jego słuszných powodów; a kto zapewni, że to przyłączenie przyniosłoby rzeczywiście korzyść?

Duchowieństwo, mówią dalej, zbyt mało posługuje się niemczyzną? To już wytknęliśmy — ale czy ewangielicy tak samo nie robią?

6. Co się zaś tyczy ks. kardynała Koppa, trzeba być sprawiedliwym i mieć przed oczyma, co i od kogo żądać można. Oprócz ks. arcybiskupa Isakowicza, iluż innych polskich biskupów. bierze udział w ruchu narodowym? Tego ani polskim biskupom nakazać nie można! Od biskupa zaś narodowości niemieckiej, a do tego może niewłaściwie informowanego, a może i za często drażnionego — czego żądać się ma prawo? Jużci tego, aby wprost nie szkodził narodowości, aby nie występował wobec niej wrogo. Wcale zaś tego żądać nie można, aby popierał odrodzenie narodowe Ślązka, boć przecie o to mu chodzić nie może. Już zaś kard. Koppowi „szkodzenia“ narodowości i „wrogiego“ dla niej usposo-

bienia, bez mijania się z prawdą, zarzucić nie można. Nigdy i nigdzie on ze słowem, nieprzyjaźń jakąś zdradzającym, się nie odezwał, nigdy nie „wrogiego“ nie uczynił. Zarzuty przeciw niemu w pismach podnoszone streszczają się w tem, że wydał okólniki co do nauk niemieckich w szkole i kościele, że nie zgodził się na prowadzenie ochrony przez polskie zakonnice — a teraz, że wybadać polecił proboszcza Paździorę co do pobytu jego i przemówień mianych we Lwowie.

Rozważmy te zarzuty bezstronnie. Czy w nich jest wystąpienie wrogie — czy tylko jakiś brak poparcia, może uzasadniony zresztą motywami, których nie wiemy? W szczególności zaś owe okólniki zawierały ogólne polecenie, aby, gdzie są Niemcy, miewano niemieckie nauki, co mogła spowodować czy to denuncyacya czy błędna informacya, a przeciw czemu w zasadzie nie można nie zarzucić, boć i w Krakowie, Lwowie i gdzieindziej, gdzie są Niemcy, bywają niemieckie nauki. Co do polskich zakonnic, to jest to rzecz zupełnie od biskupa zawisła; może na to zezwolić, ale „obowiązku“ takiego wkładać na niego a w skutek tego i zarzutu czynić mu nie można, zwłaszcza, że i w tej sprawie mogły

też inne uzasadnione być pobudki do takiej odmowy. Zresztą wyraźnie oświadczył, że przeciw zakładaniu ochron świeckich nic nie ma i nie przeszkadzał w niczem.

Wreszcie trzeci zarzut najmniej ma podstawy i opiera się na nieświadomości rzeczy. Wszak oprócz ks. Paździory byli też i mówili inni także księża śląscy we Lwowie na wystawie, a tych przecie nie badano. Więc prawdopodobnie nie o samą mowę i pobyt we Lwowie chodziło. — Dodać należy, że wszystkie te zresztą rzeczy „szkody“ Śląskowi nie wyrządziły, a co do okólników nikt nie pilnował ich wykonania i miały one więcej charakter informacyjny.

Obaczmy jednak i drugą stronę medalu. Ks. kardynał Kopp popiera i to hojnie budowę kościołów i dzieła o wybitnie katolickim charakterze. Zliczwszy sumy, które dotychczas dał na same kościoły, dojdzie ona może kwoty, jaką dziś „Macierz szkolna“ posiada na polskie gimnazjum, a pewnie nie będzie mniejszą od 40 tysięcy zł. Już zaś, gdy jest rzeczą pewną, że kościoły w odległych wioskach polskich, lub taki nowy kościół Serca Pana Jezusa w Cieszynie, są bezwątpienia najskuteczniejszą obroną i prawdziwą fortecą narodo-

wości polskiej, oddać należy kardynałowi Koppowi tę słuszną, że dla narodowości polskiej dał na samym Śląsku cieszyńskim, największe sumy ze wszystkich ofiarodawców, jacy na sprawę śląską dotychczas w Polsce dawali.

A że tam, gdzie tego od niego żądają w sposób właściwy, i gdzie to z obowiązku swego uczynić może, także wprost o prawa polskiej ludności się upomina, tego dowodem, iż gdy na Górnym Śląsku na ręce jego wniesiono adres ze 100 tysiącami podpisów o naukę religii w szkołach ludowych po polsku, kardynał przedstawił ją i poparł w ministerstwie berlińskim. W końcu zapewniali posłowie-rodacy śląscy, że kard. Kopp, będąc po nominacyi na zastępcę marszałka w sejmie opawskim, był dla nich uprzejmym — i przyrzekł, że każde ich słuszne żądanie popierać będzie.

To wszystko razem dowodzi, o ile przesadzone są zarzuty przeciw kardynałowi, podnoszone może dla odwrócenia uwagi od innych szkodników na Śląsku.

7. Niepodobna zakończyć tych uwag, nie zwróciwszy uwagi jeszcze na rzecz najważniejszą. Któryż to lud śląski, pytamy, prawdziwie łgnie do Polski? kto w każdym Polaku, a już

zwłaszcza w księdzu „z Polski“ widzi pożądanego gościa i jakby anioła z nieba? — który lud corocznie oszczędza grosz, od ust sobie odejmując, aby mógł pojechać do Krakowa lub na Kalwaryę? — zkadże to przybywały już kilkakrotnie liczne, na setki liczne druzyny, aby zwiedzić Rzym polski?

Przecie to wszystko robi nie kto inny, jeno katolicko-polski lud Ślązka, który w Krakowie, na Kalwaryi, Alwerni itd. czuje się najszcześliwszym i widzi tam wszędzie swoich ukochanych i prawdziwych braci.

Jest rzeczą niezawodną, że żaden ze ślązkich ewangelików polskich nie ma tej sympatii dla Polski, jaką czuje każdy katolik Polak ze Ślązka; żadnego z ewangelików nie ciągnie do Krakowa ani gdzieindziej. Przecie nikt jeszcze nie widział tam nigdzie ani żadnej kompanii, ani żadnej choćby garstki, złożonej z ewangelików polskich! Cóż ich obchodzi nasz Wawel lub inne świątynie? — One w nich wstręt budzą!

Jeżeli się jedzie, to na pokaz, na festyn, gdzie nie mówi się o rzeczach wyznaniowych. A gdy tego roku wypadło koniecznie pojechać na wystawę, czyż nie było tu potem przedrzeźniań i polemiki nawet o to,

że pojechali sobie do Lwowa po „o b r a z k i ?“ (które rozdawał ks. arcyb. Issakowicz !)

Jest rzeczą dowiedzioną, że różnica przekonań religijnych i politycznych wytwarza między ludźmi, choćby jednego narodu lub jednej rodziny przepaść, mniejszą lub większą, ale zawsze taką, która nie da się zupełnie zasypać, dopóki do zlania się przekonań czy wierzeń nie przyjdzie. Taka przepaść tu jest i rady całkowitej na nią nie ma, chyba w nawróceniu ewangelików.

Przepaść tę, dla obrony sprawy narodowej, umiał zasypywać ś. p. Stalmach i to mu się udawało, bo był on Polakiem całą duszą, a luteranizm, choć się w nim urodził, nie był dla niego celem pracy i życia. Dzisiejsi „przodownicy“ są najpierw ewangelikami i liberałami, więc oni tę przepaść pogłębiają. Będąc w mniejszości chcieliby narzucić swą hegemonię całej ludności katolickiej i duchowieństwa. Ztąd wynika oczywiście, że katolicy muszą się bronić na dwie strony: i przeciw Niemcom i przeciw hegemonii ewangelickiej. A tę obronę katolickiej większości, swadą obdarzona spółka bazarowa piętnuje niepra-

wdziwie jako „brak patryotyzmu“ u katolików!

Ale jak katolicy reszty Polski czerpią w przekonaniach religijnych spory zasób patryotyzmu, tak to samo powiedzieć należy o katolikach-Polakach na Śląsku. Dowody na to dane są w przytoczonych 7 punktach, których dopóki kto nie potrafi obalić, zarzut miotany przeciw duchowieństwu i katolickiej ludności na Śląsku, o braku patryotyzmu, pozostanie oszczerstwem i taktycznym manewrem.

Manewr ten ma na celu podreperować nadszarpaną powagę tych, którzy pracy ś. p. Stalmacha stanęli na drodze i oną skrzywili, a dziś chcąc się utrzymać na wierzchu, zasłaniają hasłem narodowości swoje bezrobocie lub swoją złą robotę.



VIII.

Katolicy i ewangelicy.

Do charakterystyki katolickiej ludności Ślązka, stanowiącej przeszło dwie trzecie tutejszej polskiej ludności (ewangelików bowiem wraz z Niemcami i Czechami jest tu tylko 70 tysięcy) dodać i to potrzeba, że jak wszędzie tak i tutaj katolicy mniej są ruchliwi w „rzeczach tego świata“, a winnych wprost sumieniem krępowani.

Co do społecznej zgody, to z katolickiej strony nie ma wyzywającego zachowania się wobec współbraci ewangelickich, ale za to czy na religijnem, czy społecznem i politycznem polu zmuszeni są wobec tych właśnie braci wedle narodowości, a wyznaniowych przeciwników, stać ciągle na stanowisku obronnem, co właśnie narodowe siły wyczerpuje, a przynajmniej zaprzęta.

Gwiazdka Cieszyńska tę jedną tradycję śp. Stalmacha, aby wyznaniowych

nie wszczynać swarów, tak wiernie zachowuje, że nawet w swarach na polu społecznem i politycznem, często swych współwyznawców opuszcza. Ztąd z *Gwiazdki Cieszyńskiej*, najwięcej poza Ślążkiem czytanej, nie można nawet się nic dowiedzieć o tem, jak się tu wewnątrz te dwa prądy: katolicki i ewangelicki ze sobą ścierają. Dlatego to właśnie o tem piszemy, bo bez znajomości tych walk wewnętrznych, nie można mieć dokładnego pojęcia o tu-tejszych stosunkach.

Jak już wspomniano, katolicy polscy na Ślązku austryackim na wszystkich polach muszą wobec swych ewangelickich współbraci stać na stanowisku obronnem.

Zacznijmy od religijnego. O ile ani w *Gwiazdce cieszyńskiej* ani w żadnem innem tu piśmie przez katolików wydawanem, nie bywa z zasady mowy o ewangelikach, tak znowu ze strony ewangelików, wychodzą dwa tygodniki: *Nowy czas* i *Przyjaciół ludu*, które w żadnym numerze nie pomina sposobności przyczepienia łatki katolikom, a często drążnią tak dotkliwie uczucia i przekonania katolickie, że to nie tylko całą ludność katolicką oburzać musi, ale też czasem już i prokuratorę do obrony katolików, przez zarządze-

nie konfiskaty tych napaści, powodowało. Zatem „co tydzień“, a to z dwu stron padają przeciw katolickiej polskiej ludności wyostrzone strzały, które dotykając religijnych wierzeń, trafiają w samo serce. Niesie to z sobą z jednej strony istota luteranizmu, który jak wiadomo wszędzie żyć może tylko negacją katolicyzmu i zohydowaniem tego co katolickie, tu zaś na Ślązku, wśród ludności polskiej, ponieważ ta potrzeba atakowania katolicyzmu się wzmacnia.

Wśród ewangelików tutejszych, acz liczbą tak szczupłych, istnieją dwa prądy i dwa stronnictwa. Jedno tak zwane „haasowskie“ od osławionego swego superintendenta dr. Haasego, jest wprost wszelkiej polskości wrogie i wychodzi z zasady, że „polskość to katolicyzm“, więc wszystkie siły wyteża w tym kierunku, aby w ewangelikach swoich wystudzić nie tylko wszelkie uczucia narodowe, ale też choćby wszelki ślad sympatii dla Polski. Tej idei trzyma się *Nowy Czas*, a zważywszy, że ma on pomiędzy tutejszymi ewangelikami polskimi liczne grono czytelników i zwolenników, można za rzecz pewną przyjąć, że większość ewangelików polskich, stojąca tu przy tem piśmie i z dr. Haasem, jest stanowczo dla

narodowych uczuć i dążeń, której nieprzystępna, a nawet im wrogą. (Takiej grupy wśród katolików polskich tu wcale nie ma).

Drugi prąd i drugie, daleko mniejsze stronnictwo ewangelików polskich, idzie za *Przyjacielem ludu*, redagowanym przez pastora Michejdę. Małeńkie to grono usiłuje przekonać świat, że jest „narodowem” i pragnie, wprawdzie broń Bożą, nie religijnej, ale społeczno-politycznej łączności z resztą Polski. — W tym celu afiszuje głośno swój patriotyzm, zwłaszcza po za granicami Śląska, ale tu w domu wszystko tak robi, że rozwój sprawy narodowej jest co najmniej zataimowany. Społeczną i polityczną działalność tego grona przedstawimy niżej, tu tylko zaznaczamy, że przedstawia się ono rodakom po za Śląskiem w barwach całkiem fałszywych. Najpierw nie przyznaje się do tego, że jest ich bardzo mało, a powtórne starannie pokrywa to, że ludność katolicka ani duchowieństwo katolickie na ich pasku nie idzie, bo pójść nie może. Nie może zaś pójść dlatego, bo sam najruchliwszy pastor Michejda (innych pastorów zdeklarowanych „narodowców” prawie tu nie znajdzie) dwa razy w miesiącu poniewiera, jak wspomniano, katolicyzm w swoim *Przyja-*

ciślu ludu. Dla podtrzymywania zaś „poaagi luteranizmu“ starają się, w piśmie i słowie wprowadzić na Ślązku obyczaj nazywania pastorów „księżami“ — a pastor Michejda stale na swoich pismach podpisuje się dla bałamucenia ludności katolickiej: „Ks. Michejda!“

Nie tylko w polskim, ale w każdym języku europejskim śludzy religii każdego wyznania mają swe nazwy „własne“: „Ksiądz, pop, pastor, rabin, derwisz“ itd. Z teologicznego stanowiska, kto nie uznaje Sakramentu kapłaństwa, już wcale, wedle swych zasad, unikać by miał mieszania pojęć, jeżeli się zaś to robi, aby pod firmą „księdza“ puścić w świat polski i lud katolicki swoje postrzały, to wygląda to na coś podobnego, jak gdy tak zwani „rycerze przemysłu“ ubierają się w suknię katolickiego kapłana, aby ułatwić sobie przystęp do ludzi.

Przejdźmy na pole społeczne. Jak wszędzie, tak tutaj, ewangelicy mają przewagę materyalną nad katolikami. Objaw ten już nieraz był przedmiotem poważnych rozpraw i studyów, a katolicy wcale się nie zapierają, że innowiercy mogą, a pod pewnym względem muszą ich przewyższać w materyalnym kierunku, bo to płynie z odmiennego

zapatrywania na świat i ludzkie na niem przeznaczenie, oraz z tego, że katolicy poczuwają się do pewnych moralnych obowiązków, od których się innowiercy uwolnili.

Ale o to teraz nie chodzi, ale o same skutki tego faktu. Otóż najpierw z przewagi materyalnej ewangelików płynie to, tak w mieście jak na wsi, że katolicy muszą się bronić przed finansowo mocniejszymi, że wskutek tego rodzi się spółzawodnictwo, aby ten lub ów grunt lub dom nie dostał się w ręce luterskie itd. Ztąd to, czego indziej w Polsce nie znajdzie, że tu grunta i inne posiadłości otrzymują też przymiotnik wyznaniowy. Ten grunt, mówi się np. był katolickim, teraz wziął go luter itp. Ze zdumieniem słyszałem tu raz nawet takie od pewnego przemysłowca cieszyńskiego zdanie: „Wolę zawsze mieć do czynienia z żydami niż z ewangelikami, bo gorzej wycho-dzę!“ Jużci starałem się mu wyperswadować i ganiłem taki pogląd, ale dowodzi to, jaki tu czasem bywa antagonizm społeczny.

Oprócz materyalnych kwestyj, rozdrażniają wzajemnie ludność „dysputy religijne“, które się wszczynają często w domu, w fabryce itd. A największa wina za to spada właśnie na pisma

Haasego i Michejdy. Dostarczając co tydzień sporo materiału do religijnych sporów, podtrzymują te dysputy i wprowadzają do nich wiele ognia i zawziętości. Gdziekolwiek się obrócisz, przyniosą ci wnet *Nowy czas* lub *Przyjaciela ludu* ze skargą: „Oto, co na nas piszą!” do której często przyłącza się druga: „Czemu nas *Gwiazdka* nie broni?!”

Stąd dalej idzie, że w rzeczach ekonomicznych sprawy finansowo mocniejszych kolidują ze sprawami finansowo słabszych, a więc i Kółka rolnicze, jak wspomnieliśmy, dzielą się tu także na „katolickie“, a niektóre Czytelnie również ten przymiotnik sobie dodają. W ostatecznym rezultacie zaś idzie za tem to, że niekiedy katolicy polscy po prostu zmuszeni są współdziałać z katolikami Niemcami, aby się nie dać za wojować ewangelikom.

Że tak jest, stwierdzają dalej sprawy polityczne. Najzaciętszym wrogiem polskości jest tu bezwątpienia superintendent Haase. Toć to jest zwierzchnik wszystkich tutejszych ewangelików „powszechną ich ozią otaczany“. Jak się on odzywa w Radzie państwa, jak na każdym kroku popiera centralizm niemiecki, wiadomo, ale nie z tutejszych ewangelicko - polskich pism,

które „narodowemu“ się mienia, nie z działania obronnego przeciw tak jaskrawo antynarodowej tendencji polskich ewangelików, ale tylko ze sprawozdań z Rady państwa i z pism pozaślązkich.

Ci zaś „patryotyczni ewangelicy“ wcale tu Haasemu nie oponują, a tylko aby oczy świata od niego odwrócić, biją w ks. kardynała Koppa. Lecz gdzież tu możliwe jakie porównanie? Ks. kardynał, jak to wykazaliśmy, trzyma się w niektórych sprawach co najwyżej w rezerwie, ale niczemu nie przeszkadza, nigdzie nie szkodzi, a w sprawach religijnych hojnie pomaga; zaś Haase nie tai swej nienawiści dla polskości, głośno się z tem cdywa, protestuje przeciw wszelkiemu wymiarowi sprawiedliwości na Śląsku, grosza na nie nie da, chyba na *Nowy Czas*, którego dążności dla nas zgubne już napiętnowaliśmy.

A gdy dla popierania i szerzenia tych samych zgubnych usiłowań wymrażania w sercach polskich ewangelików uczuć narodowych, Haase założył tu „Czytelnię ewangelicką“ i osadził ją w domu do presbyterstwa ewangelickiego należącym, czemuż żaden z tych rzekomych patryotów ewangelickich przeciw temu nie protestował

ani dziś przeciw istnieniu tej Czytelni nie protestuje?

Przecież ewangelikom to łatwiej uczynić niż katolikom. Wszak ich superintendent jest samorządnie wybierany, a urząd pastora również nie zawisł od żadnej wyższej władzy, ale od wyboru wyznawców. Przyjąwszy zaś zasadę wolnej opozycyi przeciw wszystkiemu, należałoby oponować też przeciw wynaradawianiu dla względów wyznaniowych. Lecz „patryoci-ewangelicy“ przeciw zakusom swojego Haasego i jego „Czytelni ewangelickiej“ nie tylko nie protestują, ale o tej robocie milczą, woląc natomiast posyłać siarczyste korespondencye do pism liberalnych przeciw zgubnemu działaniu ks. kard. Koppa.

Jaskrawie na jaw występuje ta polityka przy wyborach. Haasowcy zawsze idą przeciw narodowym dążnościom, garsteczka zaś Michejdowców popiera wtedy narodowych kandydatów, gdy katolicy, choć są w przeważającej większości, godzą się na dwóch lub trzech kandydatów ewangelickich i za nimi głosują, jak to uczynili przy ostatnich wyborach sejmowych. Gdy zaś przychodzi kolej na katolików, aby oni mieli dwóch posłów, a ewangelicy jednego, wtedy ani garstka Michejdow-

ców już nie głosuje za narodowymi kandydatami!

Nigdzie jednakże nie okazało się zgubne działanie tego kółka tak dobitnie, jak w tych stowarzyszeniach, z których wyrzucono śp. Stalmacha i które dotychczas są w ręku „ewangelicko-liberalnych” rzekomych przewodców narodowych Ślązka.

Co zrobili z „bazarem” już powiedzieliśmy. Poszły w błoto tysiące istniejąca na lat 20 sprawa narodowa. A gdy „bazar” chylił się do upadku, a firma „bazaru” tak była zdyskredytowana, że nikt już nie chciał dać ani udziału ani ofiary dla pożerającego wszystko bazaru, wtedy to samo kółeczko podniosło inne hasło, więcej popularne: „d o m u n a r o d o w e g o”. „Będziemy budować „dom narodowy”, ognisko dla wszystkiego(?) co polskie, schronisko dla naszych zakładów i towarzystw itp.” Tak wołano. No, i skutek był, — ale nie taki, jak się spodziewano. Wpłynęło parę tysięcy, ale do uratowania „bazaru” — i nadania mu nowej nazwy „domu narodowego” było to za mało.

Bazar uległ swemu losowi, — ale trzeba było coś zrobić z „domem narodowym”. Więc wedle sprawozdań, pięć tysięcy zebranych pieniędzy — ma być

podobno na „pewnej hipotece“ — a dalsze zbieranie odbywa się. Zapowiada się też ciągle, że teraz będziemy ostrożniejsi i dom zaczniemy stawiać, aż będziemy mieli tyle, ile potrzeba! Wybornie! zbiera się pono z ośm lat, a jest coś kilkanaście tysięcy, więc tak za lat 25 lub 30 zacznie się dopiero budowanie domu! Nie jest to jednak tylko zabawne, ale smutne, nadto jest to wprost „niepotrzebne“ wyciąganie pieniędzy od ludzi dlatego, że się to już zaczęło robić, a nie wypada się przyznać, iż się chciało podtrzymać bazar, ale się sprawa nie udała!

Czyż to bowiem „domu narodowego“ w Cieszynie nie ma? Jest przecie! Po cóż świat w błąd wprowadzać?! Jest dom i wystarczający i zbudowany umyślnie na cele narodowe, a więc z salą i z odpowiednimi lokalami. Nazywa się on „domem katolickim“, bo takim jest to towarzystwo, którego jest własnością, mianowicie towarzystwo bł. Sarkandra, i takim go mieć chciał biskup wrocławski, ks. Herzog, który sam dał na ten dom coś 20 tysięcy! Czyżby dla samej nazwy „katolicki“ — patryoci ewangelicy niechcieli przekroczyć progów tego domu, choćby w nim była

czytelnia polska, przedstawienia polskie i t. d.? A jeżeli tak i ewangielicy koniecznie już chcą osobnego domu i nie tego, którym zarządza msgr. Świeży, to jeszcze i tak nie potrzebują od Polaków katolików w innych częściach Polski wyciągać na to pieniędzy. Wszak mają oni, jako gmina wyznaniowa, tu w Cieszynie na Wyższej bramie prawie całą część miasta. Jest więc cały szereg kamienic ich wyłączną własnością będących, któremi zarządza tak zwane presbyterstwo, czy też wydział wyznaniowy ewangelicki. Jeżeli tedy są oni takimi patryotami, niechże zamiast germanizującej czytelni Haasowskiej sobie „dom polski ewangelicki“ urządzają w swoich kamienicach, — a katolicy mają już swój dom katolicko - polski dawno.

Wobec tego pytamy: Co za sens? co za potrzeba składania jeszcze na jakiś „dom narodowy?!“ Jest to bałamuctwo, iż użyjemy najłżejszego wyrazu.

Jak z bazaru, tak i z Czytelni ludowej cieszyńskiej usunięto ś. p. Stalmacha i w niej to zrobiło sobie „forteczkę“ kółko pobazarowe, ewangelicko-liberalne. Nazywa się to „Czytelnia ludowa“ — ale to jest czysta fikcja. Ludu tu, odkąd wyszedł z niej

Stalmach, nie było, nie ma i zdaje się, nie będzie! Lud ten, który tu pokazuje przyjeżdżającym z Polski na wieczorkach, balach i t. p., to są żony i córki kilku owych „panów folwarcznych“, o których wspominaliśmy, albo córki jakichś funkcyonaryuszy presbyterstwa, które się *ad hoc* ubierają w kostjum ludowy śląski, którego jednak kiedyindziej nigdzie nie noszą. Trzeba zresztą podniecenia, jakie bywa na wieczorkach lub balach, aby się ludzi i trwać w złudzeniu, że będąc w „Czytelni ludowej“ w Cieszynie, miało się do czynienia z ludem. Te „dziewczęta śląskie“, które na takim wieczorku, lub gdzieś na festynie w Krakowie lub wystawie we Lwowie — pięknie śpiewają, tańczą mazura, grają na fortepianie, toć przecie oczywista nie są dziewczyny od skopca i sierpa!

Jednem słowem „Czytelnia ludowa“ tutejsza, to kasyno i to wyłącznie kółka ewangelicko-liberalnego. „Księży tu nie ma, ani katolików“, mówią ci, gdy tam przyjdiesz. No i fakt — najczęściej ich tam nie ma. Ale nikt ci nie doda, że księża i katolicy mają swój dom katolicki osobny na „starym targu“ — i że gdy w tym domu jest zebranie np. katolików śląskich, to jest tam „prawdziwych“ chłopów śląskich

tyle, ile ich jeszcze „Czytelnia ludowa“ nigdy nie miała, ani nie widziała!

Kto na Śląsk przybywa, chcąc poznać śląskie stosunki z jednej lub kilku wizyt w „Czytelnii ludowej“, ten ulegnie tylko złudzeniu. Ulegnie złudzeniu, bo usłyszy wiele, „coby trzeba zrobić“, a nie pokażą mu nic, co się zrobiło i nasłucha się żalów na brak poparcia i rozpraw na temat o trudności pracy narodowej. Ulegnie złudzeniu, bo mu nie powiedzą, że w tej samej Czytelnii, gdzieś w nieprzystępnym składzie, butwieje około 10 tysięcy książek polskich, które Polacy zarządowi Czytelnii powierzyli, a on ich od lat nie pamiętnych ani nie uporządkował, ani do publicznego użytku nie oddał. Nie powiedzą mu, że brak poparcia nie sprawy narodowej, ale ich Kółka, stąd pochodzi, ponieważ utracili oni sami zaufanie przez złe dotychczas gospodarstwo bazarowe, oraz przez to, że chcą w trójkę czy piątkę dzierżyć monopol i ster spraw narodowych, a pragną oni, — „liberalni ewangelicy“ — mieć hegemonię nad duchowieństwem katolickiem i większością, złożoną z ludu katolickiego.

Wreszcie nie powiedzą, o ile to możliwe, że lud katolicki i duchowieństwo ma inne ognisko, że lud sam się broni

i dźwiga, jak może, a co się dobrego na Śląsku robi, to się robi bez nich i po za nimi przez lud katolicki i duchowieństwo.

Na zakończenie tego obrazu działalności stronnictwa ewangelickiego, jeszcze o jednej instytucyi, która również jest w ręku tych samych paru ludzi, co kierowali bazarem, a dziś domem narodowym i czytelnią ludową. Jest to „Towarzystwo zaliczkowe i Oszczędności“. Wedle sprawozdań i bilansów, towarzystwo to z dwoma swojemi filiami w Frysztacie i Jabłonkowie, obraca rocznie przeszło milionową kwotę. Wpływu atoli instytucya ta o milionowym obrocie nie ma zgoła żadnego, ani dla spraw narodowych nie świadczy, bo przecież jakieś datki tu i owdzie, po 25 zł. lub podobnie, za świadczenie uważać nie można. W ogólności „polska kasa“ w niczem do rozwoju życia narodowego się nie przyczynia i powagi polskiego imienia, jakby taka potężna instytucya czynić mogła i powinna, nie podnosi..

Tak wygląda w rzeczywistości to, co się dzieje po stronie ewangelików i w towarzystwach, które są w ręku grupy, przybierającej nazwę: „przewodników narodowych“ na Śląsku austriackim.

IX.

Urzednicy, mleszczaństwo, Czesi, arcyksiążęca kamera.

Staraliśmy się dotychczas poznać obóz narodowy w Księstwie cieszyńskim, zliczyć jego siły, zbadać jego przywary i dobre strony, oraz taktykę w sprawie narodowej. Przypatrzmy się teraz tutejszym żywiołom napływowym, tym, o których się mówi, że stanowią obóz przeciwny narodowemu, tych, z którymi ma się walczyć.

Już wiemy, że Niemców jest tu 41 tysięcy, zdawałoby się więc, że w obec narodowej falangi blisko 200 tysięcznej, ta zaledwie czwarta część nie powinna mieć takiej przewagi. I rzeczywiście nie miałaby, gdyby jej nie dawały przewagi system i sztuka. A trzeba też jeszcze przypomnieć, że tu ci Niemcy wszyscy prawie jako tako mówią po polsku, bo mówić muszą, chcąc istnieć wśród polskiej ludności. Właściwie te-

dy mówiąc „wrogim tu i szkodliwym“ jest głównie system, czyli to dziwne aplikowanie konstytucyi, że w kraju polskim wszystko „z urzędu“ ma być po niemiecku. Tego przecie samym Niemcom tutejszym i urzędnikom przypisywać nie można; oni są wykonawcami systemu, a gdyby się ten zmienił, mało który z nich ztądby się wynosił, ale każdy z pewnością poduczyłby się po polsku — i urzędował po polsku, jakby mu kazano. Ośmieliłbym się też powiedzieć, że wśród urzędników, mało znajdzie germanizatorów z zasady lub zamiłowania, a więc nie można nawet powiedzieć, aby oni osobiście byli tymi wrogami, z którymi trzeba walczyć. Słyszałem o kilku rodowitych Niemcach, którzy poduczyli się, dla porozumiewania z ludem, po polsku, a gdy otrzymują podania polskie (co tu jak wiadomo rzadko bywa) są z tego zadowoleni, bo *man hat eine kleine Uebung*, powiadają. A że do polskiej odpowiedzi nie są obowiązani, więc nie potrzebują się lękać trudu, któryby rzeczywiście mieli, gdyby w tym samym języku załatwiać sprawę potrzebowali.

Jeśli tacy są urzędnicy niemieccy w sądowych i politycznych urzędach, to tem bardziej o urzędnikach czeskiej

narodowości powiedzieć trzeba, że usposobienia wrogiego ku nam nie mają, owszem znajdzie wśród nich wielu szczerze z nami sympatyzujących. Germanizacya tedy płynie tu *ex lege*, a właściwie, jakośmy to wykazali, z powodu bezrobocia i braku obrony w tym kierunku. Germanizują więc i nie wrogowie, przyjaciele, ba! nawet sami Polacy. Wszak są w tych urzędach i Polacy, a często „karyerowicz“ z Galicyi umyślnie tu przyjeżdża na praktykę jakąś, aby mieć też „*Uebung*“ w odwrotnym kierunku i referuje *con amore* niemieckie „kawałki“.

Germanizatorami jednak z powołania są nauczyciele szkół średnich. Między tymi znajdzie już takich, co sądzą mieć posłannictwo do utrzymywania tu niemieckiego „*besitzstandu*“ i krzewienia kultury niemieckiej.

Podobnież między urzędnikami kolei północnej i koszycko-bogumińskiej, które tu wyłącznie mają najgłówniejsze arterye ruchu, są germanizatorowe woluntaryusze, boć przecie powołania do tego z urzędowania swego nie mają. A ci woluntaryusze bywają, jak się to zwykle dzieje, zacieklejsi od tych, którzy z urzędu nimi być muszą. Często zdarza się słyszeć przy kasach biletowych, jak na lud, kupujący bilety,

pozwalają sobie wołać: „*Vieh*“, a zagadnięci po polsku przez kogoś, kto im wygląda na człowieka zaliczającego się do inteligencji, udają, że po polsku nie rozumieją, aby zmusić go do odezwania się w niemieckim języku. Zabawnej raz byłem świadkiem podobnej przeprawy. Żądają biletu po polsku, a kasjer odpowiada: *Was?* Podróżny powtarza żądanie znowu po polsku, a kasjer na to: *Warum sprechen Sie nicht deutsch?* — „Bo mi się nie chce!“ — odpowiada podróżny, no i na tem się skończyło.

Zajadłymi germanizatorami są tu w Cieszynie, Bielsku i po miastach innych, ci tak zwani „*höhere deutsche Bürger*“. Są to bogaci przemysłowcy i przedsiębiorcy, mający większe fabryki i handle. Oni uważają siebie za „kulturträgerów“ *par excellence*, więc też germanizują, o ile to w ich siłach. Oni w Cieszynie i Bielsku owładnęli zarząd gminy, a w innych miastach owładnąć się go starają. Mając przewagę kapitału i liczne interesa, wywierać mogą wpływ nie tylko na pracujących, ale też na adwokatów, goniących za bogatymi klientami, i na mniejszych kupców i przemysłowców, którzy z nimi zostawać muszą w rozlicznych stosunkach. Głową tych jest właśnie superintendent Haase, wybrany przez nich po-

słem z Bielska. Do nich też należy taki Demel, Klucki poseł, brat tego z Galicyi, dr. Bukowski, syndyk arcyksiążęcej kamery i inni. Jak z tych kilku nazwisk widać, ten główny korpus germanizacyjny składa się nie z samych Niemców, a wreszcie także i ze Żydów, stosujących swój patryotyzm zawsze i wszędzie — do interesu.

Samo jednak średnie mieszczaństwo, jako to kupcy, rękodzielnicy, drobni przemysłowcy, którzy muszą się starać o to, aby mieli wielu odbiorców, a zatem potrzebujący mieć styczność z ludem, ci germanizacyi nie prowadzą z zawodu. Każdy z nich stara się umieć po polsku, a choć do surdutowca nigdy sam nie zacznie mówić po polsku, zagadnięty popisuje się, jak może, znajomością tego języka. Przeważna zaś z nich liczba, to zniemczeni tubylcy, którzy jeszcze pacierza się uczyli od matek po polsku i odmawiali go w tym języku, póki ich w szkole niemieckiego nie nauczono. Same ich nazwy świadczą o ich pochodzeniu. „Scholtis, Brochatrelek, Kitschak, Leschansky, Biernacky“ itd. to przecie nasze: Sołtysy Kiczaki, Leszańcy, Biernaccy itd. — tak samo jak ci, których nazwiska nie dało się przekreślić, jak n. p. Bąkowski Konczakowski, Pustuwka i t. p. Cała

ta liczna drużyna przemysłowa, jak słusznie zauważył B. Świdra, znalazłaby się w zmienionych warunkach, *en masse* w obozie narodowym.

Chodzi o to, jakiej zmiany warunków potrzeba, aby się to stało. Otóż, zdaniem mojem, rzecz się ma co do tego tak: Gdyby nastąpiła zmiana systemu, a z góry zamiast kruchej teorii utrzymania „stanu posiadania” — bez względu na to, czy posiadanie jest sprawiedliwe — powiał duch inny i nastąpiło prawdziwe uznanie zasad i praw narodowości, to oczywiście, bez wielkiego trudu i pracy, cała ta warstwa średniego mieszczaństwa przeszłaby do narodowego obozu, jeżeli nie w 24, to pewno w 48 godzin.

W obecnej atoli konstelacji politycznej, takiej zmiany systemu nie prędko spodziewać się można. Toż koalicja stoi na dwu, nie powiem zasadach, ale aforyzmach: „zachowania wzajemnego stanu posiadania” i „unikania drażliwych politycznych kwestyj”. Aforyzmy te wykluczają zmianę systemu na Ślązku, tak jak „trójprzymierze” wyklucza federację słowiańską i Austrii zamyka do niej drogę.

Więc na to czekać nie można, a przecie, co się tyczy śląskiego średniego mieszczaństwa, czekać na jakąś

z nieba spaść mającą zmianę stosunków, nie ma czasu. W dzisiejszych przez pół zniemczonych mieszczanach, dogrzebiesz się jeszcze uczucia narodowego, jak to stwierdzi następujący przykład. Zaszedłem raz do cukierni Biernatzkiego i z ciekawości zacząłem ze starym gawędę. Mówił łamanym polskim językiem i ciągle wracał do niemieckiego, bo *es geht mir leichter*, tłumaczył. Nie przeszkadzałem mu, chcąc, aby się wygadał. Pokazało się, że jako syn żołnierza z jakichś wojen polskich, których nie umiał już bliżej określić, przyszedł dzieckiem na Śląsk. Do roku 14 nie umiał wcale po niemiecku, jest najprawdziwszym „Bier-nackim“ i na dnie tej duszy żyją te dawne wspomnienia i wywierają swój urok. Więc z takim i tam jeszcze pokoleniem żyjącem, co ma tradycję rodzinną polską, możliwe jest rozbudzenie narodowego ducha. Dzieci takich Biernackich już jej nie mają i czują się pełnej krwi Niemcami, a trzebaby czegoś nadzwyczajnego, aby dla samego polskiego nazwiska kiedyś wrócili do narodowości.

Ale takich nadzwyczajnych wydarzeń ani się spodziewać, ani wyczekiwać nie można, więc by potrzeba, bez zwłoki, nie czekając na niepewną a za-

wodną przyszłość, teraz coś robić, aby w tem mieszczaństwie ocucić drze-
miące pod grubym popiołem iskry na-
rodowego poczucia.

Śp. Stalmach często o tem mawiał, a to mieszczaństwo, które całe znał i ono go nawzajem znało i szanowało, ciągle miał na sercu. Z żalem opowiadał, jak mu w tem pokrzyżowano plany jego, które miał zakładając „Czytelnię ludową“. W tej to Czytelnii chciał on zgromadzić te w gruncie rzeczy narodowe żywioły. I to mu się też w początkach istnienia „Czytelnii ludowej“ udawało. On był też jedynym człowiekiem, który to mógł być uczynić, miał bowiem zaufanie i szacunek u swoich. Tymczasem dobre zawiązki rozbili „nowi działacze“, których pierwszym krokiem wszędzie było: „Wyrzucić Stalmacha!“ Zatem wyrzucili go z „Czytelnii ludowej“, co widząc mieszczaństwo, które do Czytelnii garnąć się począło, wszystko także odstąpiło — i dziś stoi albo na uboczu, albo przeszło do niemieckich stowarzyszeń towarzyskich.

Następnie marzył Stalmach, że gdy się wybuduje „Dom katolicki“, to uda się w nim zebrać znowu tę przynajmniej część tego mieszczaństwa, która przez te 20 lat „barosowej gospodarki i sporów“ jeszcze nie zniemczała zu-

pełnie. Wszakże i te nadzieje go zawiodły, bo w „Domu katolickim“ lokal jest i sala jest, a nawet już uchwała na zgromadzeniu Towarzystwa, które tego domu jest właścicielem, zapadła, aby Czytelnię urządzić i ożywić, ale przez rozbicie wewnętrzne z jednej strony, a przez brak czasu u tych, którzyby tem się zająć mogli i powinni, do tego przyjsć jakoś nie może. A przecie trzebaby coś zrobić, aby to średnie mieszczaństwo pozyskać dla narodowej sprawy. Do obecnej „Czytelnii ludowej“ ono już nigdy nie pójdzie, zwłaszcza jak długo na jej czele stoją ci, którzy Stalmacha wyrzuciwszy, ich też odepchnęli, ale w innem jakimś ognisku, któreby na ich zaufanie zasługiwało, możnaby ich jeszcze zgromadzić.

A gdy mowa o przeciwnikach sprawy narodowej, to trzeba wspomnieć i o tutejszych Czechach. Od pewnego czasu niektórzy reporterzy do galicyjskich pism podnoszą, a to dość ostre zarzuty przeciw tutejszym Czechom. Nam się one wydają nieco przesadzone. O urzędnikach czeskich już wspomniałem, że oni wcale wrogimi nam nie są, owszem okazują nam swe sympatyje. Toć przecie, p. Hrubego, Czecha, wybrano jako narodowego posła. Dalecy od chęci germanizowania, Czesi

w towarzyskiem życiu więcej używają swojego ojczystego języka, niż niektórzy Polacy — a gdy pozdrawiając mówią „ma ucta“ (moje uszanowanie) albo „służebnik“, to przecie zawsze miłsze, niż niemieckie *Guten Tag*!

Mówią, że Czesi starają się wprowadzać czeskie szkoły w gminach granicznych, mieszanych — i tu to właśnie ma mieć podstawę ten zarzut wrogiego wobec nas postępowania, i już nie germanizacyi, ale „czechizacyi!“ Otóż ta sprawa potrzebuje wyjaśnienia. Śląsk graniczy z Morawami, a więc jak wszędzie na świecie w granicznych pasach, tak i tu w tym pasie, język i ludność jest mieszana. Tego się nie uniknie, bo to rzecz naturalna, a pod pewnym względem konieczna, bo przecie naród od narodu murem chińskim odgrodzić nie można. Zatem na tych kresach, gdzie Czesi są w poważnej liczbie choćby w mniejszości, starają się wprowadzać szkoły czeskie. I możnaż im to brać za złe? Chcą się utrzymać przy swej narodowości — bardzo dobrze! Czemuż Polacy tak się nie krzątają około spraw swoich i jeżeli są w prawdziwej większości nie założą szkoły polskiej? Ten zarzut czyniony Czechom, jest właściwie wyrzutem uczynionym polskiej opieszałości. Bo,

pamiętajmy, idzie o szkołę nie „niemiecką“, którąby rząd narzucał, lub której utworzenie by on popierał, a więc gdzieby słusznie powiedzieć można: przemogli nas siłą! Ale gdzie chodzi o szkołę polską czy czeską, a zależy to od tego, która z tych dwu stron na swoim postawi — o własnej sile bez pomocy rządowej — to zwycięstwo Czechów jest tylko dowodem ich dbałości i większej ruchliwości w ich narodowych sprawach.

A gdzie takie szkoły Czesi z własnych funduszków zakładają, no! to chyba Polacy im podziękować powinni, bo gdyby nie Czesi, to alboby szkół nie było wcale, alboby była niemiecka. Już zaś, gdzie o to idzie, to nikt nie zaprzeczy, że lepsza szkoła czeska, niż niemiecka lub żadna. Sądzę tedy, że Czechów wcale do przeciwników naszych na Śląsku zaliczyć się nie godzi, ani swojej niezdarności pokrywać krzykami i żałami na nowo wynaleziony: „ucisk czeski“.

Typów, w guście „*Deutschbohmów*“, o jakich czytamy w starych pamiętnikach Galicyi, z czasów jej germanizacji, tu nie ma, a tacy tylko mogliby uchodzić za szkodliwych. Czesi, którzy chcą „czechizować“, to tylko wzór do naśladowania, jak trzeba bronić sprawy

narodowej i szerzyć ją, który to wzór oby tu na Śląsku naśladowano.

Gdzie się znajdują pracownicy serca gorętszego, wolni od zajęczej trwożliwości, tam takie rzekome wynaradawiania „czeskie“ wkrótce się naprawiają. Tak było w niektórych parafiach gdzie „księża-czesi“ (jakich wedle historyi i Galicya miała dość, nawet na stolicach biskupich), zaprowadzili czeskie pieśni lub czeskie modlitwy; zmieniło się to bez pracy, jednym zamachem, gdy przyszedł kapłan z poczuciem narodowem. Wszak niedawno załży się podobno *Narodne Listy*, że Czesi stracili siedm parafij. To także dowód, że duchowieństwo katolickie coś robi dla narodowej sprawy — i że „czechizacya“ nie jest niebezpieczną!

Pozostaje się nam jeszcze zapoznać z głównym wrogiem narodowości i najniebezpieczniejszym nieprzyjacielem polskości tu na Śląsku, ale o tym w osobnym artykule.



Arcyksiążęca kamera.

Ze 40 mil. kwadratowych, stanowiących obszar Śląska, trzynastcie mil kwadratowych należy do arcyksięcia Albrechta, który je posiada w części jako lenno cesarskie, w części jako przysporzony osobiście majątek. Drugi wielki właściciel Monnich-Larisch, marszałek Śląska, do którego należy głośna z ostatnich strasznych wypadków Karwina, będzie zapewne posiadał około 7 mil kwadratowych, ale chociażby nieco mniej posiadał, zawsze bez przesady powiedzieć można, że połowa Śląska jest własnością dwu ludzi, a drugą połowę obdzielić się ma 200-tyśięczna reszta ludności.

Już to samo wskazuje, że tutejsze stosunki społeczno ekonomiczne cierpieć muszą pod wpływem tego anormalnego socyalnego położenia; a lekarstwo na te dolegliwości chyba nie tak prędko się znajdzie.

„Własność — jak powiedział pięknie przy zamknięciu zjazdu dziennikarskiego we Lwowie Wojciech hr. Dzieduszycki — daje nie tylko prawa, ale ona też niesie z sobą obowiązki“ Lecz aby te obowiązki z własnością, a jeszcze tak olbrzymią, połączone, były należycie wykonane, musi ta własność czuć z tymi, wśród których się rozsiadła, których praca utrzymuje w ruchu wielką maszynę roboczą i z którymi połączyły ją węzły społeczne, gospodarskie i inne.

A któż to wykonuje tu te obowiązki, połączone z posiadaniem przeszło czwartej części całego Śląska? — Juści nie sam dostojny właściciel, którego myśl cała, jak wiadomo, zwrócona ku wielkim celom państwowym, ku doskonaleniu siły zbrojnej monarchii, których to sił zbrojnych jest, można powiedzieć, pierwszym po monarsze wodzem i nauczycielem. Zatem te obowiązki z własności tu posiadanej pływające, sprawuje w zastępstwie właściciela tak zwana „arcyksiążęca kamera“.

Wiadomo z praktyki życia dawnej i dzisiejszej, że zawsze i wszędzie rządcy, ekonomowie, pisarze prowentowi i tym podobni funkcyonaryusze, już nie są to, co sam właściciel. „Ekonom“

było kiedyś u nas słowem, które napełniało lud postrachem. Tu na Ślązku możnaby powiedzieć, że „pan Verwalter, pan Huttenmeister, pan Forster, pan Oberforster“ — to są słowa, na których samo wspomnienie lud tutejszy się co najmniej krzywi, jeżeli już nie drży ze strachu. Nasi dawni, choćby najgorsi oficyaliści, należeli przecie do narodu, czuli sercem z tym ludem, wśród którego żyli i żadnej ku niemu nie mieli narodowej odrazy.

Tu liczna ta i potężna kohorta, to sami obcokrajowcy; Polaków znajdziezaledwie kilku i to na podrzędnych stanowiskach. W dziale ekonomicznego zarządu Polak co najwyżej może być jak tu mówią „gajnym“, a w przemysłowości jak doprowadzi do tak zwanego „Vorarbeitera“ czyli dozorca, to już dobrze!

Mówi się zwykle — i o tem wszyscy już wiedzą — „szlachty polskiej nie ma na Ślązku“. Ale to dopiero część rzeczywistości i prawdy. Trzeba się zastanowić nad tem: co tu jest w miejsce tej szlachty i to dopiero wykaże całą doniosłość tego ubytku i całą grozę położenia Ślązka. Nie owijając w bawełnę, powiedziałbym otwarcie, że jakkolwiek zaliczam się do demokratów dosyć czerwo-

nych, a przynajmniej czerwoniawych, przypatrzwszy się tym, co tu w dawnych dworach i zamkach szlacheckich się rozsiedli, radbym na wagę złota móżdż tu sprowadzić z kilkunastu szlachciców, choćby z gatunku tych, przeciw którym ze strony demokracji najgłośniejsze odzywają się „huzia!“ — Cóż tu bowiem jest w miejsce tej szlachty? Nazywa się to, jak wspomnieliśmy, zbiorowo: „arcyksiążęca kamera“ a na praktyczny język przełożywszy „jest to ogromna czereda kulturträgerów, która się czuje w pierwszym rzędzie powołaną do tego, aby, jak tu Ślązacy już powszechnie mówią, falą „bildungu“ zalać tę piastowską dzielnicę, a kulturę niemiecką pchać „nach Osten“ i uwiecznić tu „den deutschen Besitzstand!“

Pod względem tedy narodowym jest to główny sztab wrogiego polskości obozu, który potęgą swego moralnego i materialnego wpływu ciąży jak straszna zmora nad całym tutejszym narodowym ruchem i życiem — i po prostu jest, jak ten bajeczny upiór, co krew wysysa i z cicha ale pewnie odbiera życie.

Już na sam zewnętrzny wygląd wywołuje ta arcyksiążęca kamera tu w Cieszynie w każdym po polsku czują-

cem sercu najprzykrzejsze wrażenie i głęboką boleść. Generalna dyrekcyja rozsiadła się w prastarym piastowskim zamku a tuż obok tak starożytnej wieży, która pamięta dawnych polskich rycerzy — a steroczy dziś ku niebu jakby błagalna dłoń — założono nieodzowny niemieckiego „bildunku“ warunek czy owoc „browar piwny“.

Gdy wejdiesz do środka, to cały zamek wyda ci się jakimś gmachem wielkiego ministerjum, gdzie labirynt kancelaryj, biur i rozmaitego gatunku urzędów. Patrząc, gdy te biura się z rana zapelniają lub wypróżniają wieczorem, spotkasz nieprzeliczony zastęp kulturników, kroczących dumnie w poczuciu swej siły i posłannictwa.

Gdy wjeżdża lub wyjeżdża błyszczący powóz, możesz być pewny, że to jeden z tych potężnych dyrektorów, ratów lub podobnych osobników, co trzęsie losem setek podrzędnych, a rozstrzyga o losach roboczego ludu polskiego, którego nienawidzi, jak przystoi na niemieckiego kulturnika.

Tak się ta kamera przedstawia na zewnątrz w Cieszynie.

A chcesz poznać, jaki ona wpływ wywiera i jakiej potęgi jest władczynią, to jeszcze z samej obserwacyi ruchu, jaki się tu koło zamku odbywa,

niejedno poznać możesz. Oto zobaczysz często ubranego odświętnie księdza, który tu spieszy przedstawić się generalnemu dyrektorowi, bo właśnie wakuje jakieś probostwo w rozległych dobrach pod zarządem kamery zostających, a to tak korzystnie dostać się raz choćby na najlichszą parafię arcyksiążęcą! Potem już łatwo przechodzić na lep ze beneficya, bo w kamerze jest zasada, że jak urzędnicy, tak i księża mają „awans” tj. z gorszych probostw przechodzą na lepsze, przed innymi konkurującymi, którzy w dobrach kameralnych nie byli, choćby ci ostatni mieli Bóg wie jakie zasługi. Tu ten „system” kameralny bywa ściśle przestrzegany, a z tego już poznać, jak potężnie i nad duchowieństwem zawisł wpływ arcyksiążęcej kamery. A nie zaszkodzi tu wspomnieć mimochodem, że ten sam system co do „awansu” duchownych, chciała kamera wprowadzić i w dobrach swoich w Galicyi do krakowskiej dyecezyi należących, atoli śp. kardynał Dunajewski dość skutecznie temu się oparł, choć wszystkiego przełamać nie mógł.

A jeszcze dalej wystarczy się przypatrzyć, z jakim szacunkiem i z jak wielkim respektem kłaniają się tu „panom z dyrekcyi” wszyscy, poczynawszy od po-

licyanta, mającego stanowisko pod zamkiem, aż het do góry, przechodząc wszystkie szczeble hierarchii społecznej, aż do naczelników rozmaitych władz i urzędów państwowych czy autonomicznych, aby już z tego samego wnioskować, że tu żadna sprawa arcyksiążęcej kamery — a ileż ona ich ma?! — w żadnym fachu ani długo zalegać nie może, ani niepomysłnego zakończenia obawiać się nie potrzebuje. Z czego samo przez się wynika to, że ktokolwiek mimowoli czy dobrowolnie wpada w jakąkolwiek kolizję z „arcyksiążęcą kamerą” najgorzej na tem wychodzi, bo sam ten przymiotnik podkreślony zdolny jest przesądzić sprawę. A w dalszym ciągu wskutek tego, strach tu paniczny, doświadczeniem zresztą wymownie utrzymywany, przed tą wszechpotężną instytucją.

A jeżeli ona tak się przedstawia już tylko tutaj na miejscu, to cóż dopiero jeżeli się zważy, że ramiona tego olbrzymiego dębu, którego korary głęboko są zapuszczone na wzgórzu zamkowym, sięgają na wszystkie strony, jak Śląsk szeroki i długi. Po zamkach i dworach dawnej szlachty, po leśniczówkach i folwarkach, wreszcie w równie niekiedy licznych, jak cieszyńska generalna dyrekcyja, kancelaryach

olbrzymich zakładów przemysłowych, wszędzie te same typy dyrektorów, verwalterów, försterów, pisarzy, a wszyscy nietylko obcego pochodzenia, ale też bynajmniej nie sympatyzujący z ludnością, z której — rzecz można — żyją.

Obowiązki więc moralne, społeczne i narodowe, z własności płynące, nietylko nie są wypełniane, ale raczej wszystko się tak dzieje, aby polski charakter Ślązka uległ radykalnemu przeobrażeniu.

Myślałem już nieraz nad tem, jak to u nas na niektóre rzeczy nie zwraca się całkiem uwagi. Mówimy, piszemy, wołamy, no, nawet ratujemy się wedle sił i możliwości przeciw zapędom bismarkowskiej „komisji kolonizacyjnej“ w Wielkopolsce — a o arcyksiążęcej kamerze śląskiej prawie cicho; czasem gdzieś, kiedyś, jakaś pobieżna wzmianka!

W skutkach — ba i dążnościach, ten zarząd kameralny nie jest niczem innem, tylko wielką komisją kolonizacyjną, tem niebezpieczniejszą, że działa cicho, bez rczgłosu, legalnie, ale też z przewagą „milionowych“ funduszy, a co więcej — systematycznie.

To, co w Cieszynie i na Ślązku się dzieje, już się posunęło dalej. Zajęte już całe Żywieckie, przechrzczone nawet na „Saybusch“, a w zamku żywieckim już tak się dzieje, jak na zamku w Cieszynie, i wszechpotężny dyrektor, rozsiadły w polskich pomagnackich komnatach, wydaje rozkazy całej falandze verwalterów i tp. również szerzących niemiecką kulturę i niemiecki „bildunek“,

Niewiem jak komu, ale mnie pawilon żywiecki na wystawie Lwowskiej wydawał się prawdziwą anomaliją! Toż to także miał być dowód naszego postępu, naszej siły moralnej, naszego zrozumienia narodowej sprawy? Raz tam tylko byłem, a i to daleko nie zaszedłem. Niedaleko drzwi wchodowych na lewo, kto umiał patrzeć, mógł tam widzieć mapkę: „państwa żywieckiego“. Było napisane: „Herrschaft Saybusch“ podobno już nie pamiętam, bo popatrzywszy na tę mapkę i zobaczywszy linie graniczne postępow tej komisji kolonizacyjnej naszej, w oczach mi się zaćmiło, za serce mię ścisnęło, i prędko wyszedłem z pawilonu.

Ale po tym bolesnym nawiasie, wróćmy do śląskiej arcyksiążęcej kamery i dokończmy żałobnego obrazu,

którybym wolał łzami pisać niż atramentem.

Spółeczny i ekonomiczny wpływ „arocyksiążęcej kamery“ jest w skutkach swoich dla sprawy narodowej zgubny. Rani aż gdzieś do ostatnich głębin duszę polską, gdy się pomyśli nad jedną rzeczą: Czy to się kiedyś zmieni? Czy w tych zamkach, dworach, leśniczówkach, zabrzmie jeszcze kiedyś polskie słowo? rozlegnie się dźwięk polskiej pieśni? odżyje to, co umarło? Ale szukaj, jak chcesz i myśl wyteżaj, ile możesz, zawsze w duszy twojej brzmi złowrogie: Nie! Zaiste, trzebaby wielkiego nietylko politycznego, ale społecznego przewrotu, aby to, co się stało, odstać się znów mogło z narodowym pożytkiem.

Żywy naród polski jest tu ofiarą olbrzymiego obszaru, administrowanego przez żywioł obcy. Jak padły ofiarą obszary tak zwane dworskie, klucze całe, jak żywiołki, tak tam, gdzie tego się chce lub potrzeba dla pomnożenia dochodów lub zaokrąglenia posiadłości, bez walki niemal, padają ofiarą mniejsze posiadłości. Tak np. w gminach, będących siedzibą wielkiego przemysłu, wykupuje się prywatne domy, chłopskie grunta itd. i dochodzi do tego, że nie możesz stąpić po ziemi,

żeby nie była kameralną, ani znaleźć, jak tu mówią, kwateru, któryby nie był „pański” — bo tak lud tu nazywa, co należy do arcyksiężęcej kamery. Zamienia to lud, zwłaszcza robotniczy, w formalnych poddanych i zdaje na łaskę i niełaskę panów verwalterów i zarządców.

Wobec tego, zarobek czyli wysokość zapłaty zawisła zupełnie od „uznania” tutejszych panów chlebobawców, a tymi są oczywiście zarządcy. W gospodarczych zarządach zarobki tu nie są bynajmniej większe niż w Galicyi, a okrzyczana płaca 20-centowa, zrozumiała u tego, który się boryka na setkach morgów z potężną giełdą zbożową, nie jest rzadkością w administracyi o milionowych funduszach.

W przemysłowych zakładach, jak powiedział ks. Świeży w parlamencie, przeciętna płaca wyniesie 40 zł. miesięcznie, ale w tej pracy pochłonięty już cały człowiek i nie tylko zużywa w niej zdrowie i odzienie, ale naraża i zdrowie i życie, pracując albo pod ziemią, albo w ognistym piekle hutniczem. A przytem, przytem to najstraszniejsze, że taki robotnik przed sobą nie widzi żadnej przyszłości! On nigdy nie dorobi się własnej chatki, on nigdy nie będzie uprawiał

swego ogródka — on do śmierci zostanie robotnikiem, jeżeli przedtem nie straci zdrowia i nie pójdzie na pensję siedmiu centów dziennie!

Możeż być los smutniejszy? A taki los ma przed sobą połowa niemal polskiego śląskiego ludu — bo 13 mil kwadratowych jest już, a więcej ich jeszcze będzie, w zarządzie arcyksiężęcej kamery — bo połowa Ślązka należy do dwu ludzi!

XI.

Niewiasty na Śląsku.

Obraz stosunków śląskich, a właściwie księstwa Cieszyńskiego, nie byłby zupełnym, gdybyśmy nie poświęcili osobnego działu uwagom o niewiastach tu-tejszych.

„My rządźm światem, a nami kobiety“, powiada znany aksyomat, który słusznie uzupełnić wypada pięknem zdaniem naszego gawędziarza: „O nie zginęła jeszcze Ojczyzna, póki niewiasty tam czują; bo w ich to piersiach płynie trucizna, którą wrogowie się trują.“

Filozoficznie, oba te zdania zupełnie są uzasadnione. Podstawą społeczności jest rodzina, a duszą rodziny, raczej jej sercem, życiem, wszystkim jest zacna żona i dobra matka.

Póki świat światem, a ludzkość ludzkością, nie obali tego stanowiska niewiasty, które siłą praw przy-

rodzonych zdobywała za czasów pogańskiego poniżenia niewiast, a zdobyła je w zupełności przez chrześcijaństwo; skrzywić je nieco można przez tak zwaną „emancypację kobiety“ — która na szczęście, znowu siłą praw przyrodzonych, sama się gdzieś gubi, gdy choćby nawet najżagorzalsza emancypantka — staje się żoną i matką.

A skoro już tyle zrobiłem ogólnego wstępu, zanim przejdę do niewiast śląskich, niech mi wolno będzie zrobić jeszcze jedną uwagę o „niewiastach wiejskich“ Uwaga ta jest tu na miejscu i potrzebną, boć powszechnie wiadomo, że na Śląsku całym, pruskim i austryackim, jak nie ma szlachty, a inteligencyi mało, tak też nie ma niewiast tych, które bywają ozdobą naszych dworów, a w miastach polskich stoją na czele tak wielu spraw pożytecznych, społecznych i narodowych. Mówiąc więc o niewiastach na Śląsku, wypadnie mówić przeważnie o „niewiastach wiejskich“, bo te przecie podtrzymują tu ognisko narodowe, a lud sam jest tu narodem i tym korzeniem, którego wykarczowanie nie zdołała forsa niemieckiej kultury.

Lecz któż u nas w Polsce zajmuje się poważnie „niewiastami wiejs-

skiem i“? kto zwrócił uwagę na te prawdziwe „matki ludu“? pomyślał o tem, aby je podnieść umysłowo, moralnie, ekonomicznie?

O niewiastach z inteligencyi myśli każdy redaktor i dostarcza zajmujących powieści, dobranych fejletonów i t. d. Myślą o nich nasi powieść opisarze i księgarze-wydawcy. Radzą o nich sejmy i rady szkolne i zakładają szkoły wydziałowe, seminarya żeńskie i t. d. Myślą lekarze i piszą: „Poradniki dla matek“. Myśli w końcu Ćwierciakiewiczowa i układa 360 — i więcej obiadów, gromadząc przy tem różnorodne przepisy i praktyki gospodarskie.

Ale o niewiastach „wiejskich“ któż myśli? gdzie dla nich coś podobnego, odpowiadającego ich warunkom życia, powołaniu i obowiązkom?

Jest jeden sposób myślenia o nich zły, rzekłbym zgubny, o którym ani chcę wspominać, bo on oburza, już choćby dla tego, że zdradza jakieś błędne przekonanie, jakoby niewiasta „z gminu“, jak mówią, była istotą, wobec której wszelka śmiałość jest na miejscu, i nie należała się „część każdej niewieście!“

Drugi sposób szlachetniejszy myślenia o niewiastach wiejskich, jest dotąd tylko wyjątkowy. Gdzieś, jakiś zakon

zajmuje się „sługami“, drugi „sierotami“, a znowu gdzieś wspominają czasem, jak o kuku białym, o jakiejś „szkole gospodyń wiejskich“. Jest tego bardzo mało, to raz, a powtóre wszystko to, rzecz można, jednostronne, jak do niedawna i dziś po części są tak zwane „szkoły rolnicze niższe“, które zaledwie od paru lat przestano nazywać po imieniu właściwem: „szkołami dla parobków“. I zakony zajmujące się niewiastami czy dziewczętami wiejskimi i szkoła „gospodyń wiejskich“ — myślą w pierwszym rzędzie o wytworzeniu „dobrej służby“ i o pomieszczeniu swych wyuczonych kandydatek na dobrym miejscu.

Dla „żon i matek ludu“, prawdziwych i rzeczywistych, nie ma nic! — A przecie do szkół ludowych w Galicyi chodzą i dziewczęta i nabywają już tam tyle wstępnych wiadomości, żeby o dalszych ich potrzebach duchowych i życiowych pomyśleć już można i potrzeba — a nie zostawiać „niewiast wiejskich“ bez pisma, bez poradnika, bez żadnej instytucyi, w której uzupełnićby mogły nabyte w szkole ludowej wiadomości.

Wobec tego zapomnienia o „niewiastach wiejskich“ — dla których w Królestwie nie można nic robić, w Wielko-

polisce trudno, no a w Galicyi by można — ale podobno nie ma czasu pod brzemieniem wielkich zadań państwowych — słusznie należy się ta sława Ślązkowi, że pierwszy zwrócił uwagę na „niewiasty wiejskie“ i zaopiekował się prawdziwemi matkami ludu. Pierwszym był śp. Karol Miarka, który wpadł na myśl wydawania obok pisma politycznego dla ludu, drugiego pisma jako dodatku pod tytułem: *Monika* dla matek chrześcijanek. O ile mi wiadomo, było to pierwsze tego rodzaju pismo polskie, które się zajęło *ex professo* tą żywotną sprawą „niewiast wiejskich“ i zaradzenia ich moralnym i ekonomicznym potrzebom. Obecni redaktorowie *Katolika* przyjąwszy to pismo od Miarki, idą dalej tym już nieco utartym śladem i wydają w tym samym duchu i celu dodatek do *Katolika* pod tytułem *Rodzina*. Tam już tedy nie czekają ani na przyrost inteligencji, ani na pomożenie zastępu „Polek inteligentnych“, ale w matkach ludu budzą uczucia narodowości, moralności i gospodarności.

Zapisało się też już dobrze w dziejach górnego Śląska imię jednej Polki, wprawdzie nie z ludu, ale oddanej całkowicie sprawie ludowej, która na Ślązku utożsamia się na sprawę na-

rodową. Jest nią siostra ks. Radziejewskiego. Gdy tenże musiał pójść odsia-
dywać całoroczne pruskie więzie-
nie, przelał prawa własności i zdał całe
wydawnictwo na siostrę — i nie za-
wiódł się. Panna Radziejewska wzięła
sprawę w swoje ręce nie tylko na se-
ryo, ale z zapalem i poświęceniem, na
jakie Polka zdobyć się umie i pismo
wskutek uwięzienia redaktora nietylko
nie upadło, ale rozwinęło się świetnie.
Brat wyszedłszy z więzienia, widząc
taki pomyślny stan rzeczy, zostawił
sprawę nadal w jej rękach, no i panna
Radziejewska po dziś dzień prowadzi
wydawnictwo i kieruje administracyjną
częścią nietylko pisma ale drukarni
i rzecz można, najpopularniejszego i naj-
bardziej wpływowego zakładu wydawni-
czego, nie tylko z poświęceniem, ale
też z prawdziwem mistrzostwem.
Tak więc można powiedzieć, kierunek
sprawy narodowej, z jej strony zewnę-
trznej, materalnej, jest w ręku pol-
skiej niewiasty, co redaktorom
daje możność swobodnie, bez troski,
a więc niezależnie prowadzić jej
polityczną stronę. Kto wie, w ja-
kim stopniu dobry zarząd finansowy
pomnaża skuteczność działania w in-
nych sferach, a jaki wpływ na kieru-
nek pisma każdego wywierają mate-

ryalne jego stosunki i porządek administracyjny, ten zrozumie i oceni całą doniosłość pracy i zasług panny Radziejewskiej.

Jej też bez wątpienia wpływowi i ingerencyi przypisać należy, że Śląsk górny jest tym jedynym kątem na polskiej ziemi, gdzie oceniono doniosłość pracy około podniesienia umysłowego i narodowego „niewiast wiejskich” — matek ludu.

Na rozwój i postępy sprawy narodowej na górnym Śląsku ma to wpływ decydujący, a Bismark żałac się na wpływ Polek, zapewne i niewiasty górnego Ślązka — i samą pannę Radziejewską mógł mieć na myśli.

XI.

Niewiasty na Ślązku.

A teraz po tych uwagach ogólnych i zaznaczeniu udziału niewiast w pracy narodowej na Górnym Ślązku — przyjrzymy się stanowi rzeczy na Ślązku austriackim. Gdy np. zaczęto w Galicyi zawiązywać „Koła pań szkoły ludowej“ pospieszyły chwalebnie i tutejsze panie do pracy. No! i szczęściem nie było to przeciw woli mężów, a więc zawiązało się „Koło pań szkoły ludowej w Cieszynie“. Co to koło pań do dziś zrobiło — nie wiem, ale sam fakt zawiązania się, notuję jako dodatni. Jako rzecz dobrą zapiszę także, że panie tutejsze urządziły drzewko na Boże Narodzenie dla biednych dzieci i rozdały im ciepłą odzież i przysmaki.

Ale bieda z tymi mężami! Urządziło „Koło pań“ i jakąś zabawę.

A urządzenie zabawy uważane tu bywa za rzecz bardzo ważną. Wszak bawić się trzeba! W Cieszynie zwa-

szcza, gdzie nie ma zgoła zwyczaju, aby „kolonia polska“ (niestety! kolonia w polskiem mieście!) bawiła się po domach prywatnych. Nie wiem, czy to się dzieje ze zwyczaju, czy dla względów oszczędności, czy dla braku wzajemnej serdeczności — dość, że zebrań i zabaw w prywatnym domu, nawet święconego i wili, w taki nasz, staro-polski, serdeczny, patryarchalny sposób tu nigdy nie ma! Więc tembardziej trzeba zabawy w „Czytelni“, bo tam przynajmniej zejdzie się ta dobrowolnie rozprószona kolonia polska. A równocześnie jest o czemś napisać do gazet i dać znać o „patryotycznej pracy“ w Cieszynie, a pomnożyć o parę złotych szczupłe zresztą fundusze „Koła pań szkoły ludowej“.

Ale gdzież nie ma ludzi złośliwych. Znalazł się jakiś drugi „Warszawiak“, który w urzędzeniu takiej zabawy nie widział żadnej doniosłości dla pracy narodowej, i użalił się na brak „Ewek i Józek“ przy tej zabawie, wreszcie na to, że ta jedna pono, co była, musiała siedzieć w kącie, bo nie umiała mazura. Uczynił to w sposób całkiem niewinny, pisząc wyborną humoreskę do *Gwiazdki Cieszyńskiej*. Największą jednak zbrodnię popełnił przez to, że wytknął w tejże humoresce, używając

nazw fikcyjnych: „Busserl i Całuskiwicz“, błędne drogi rzekomej pracy narodowej znanej „bazarowej spółki“.

Humoreska i satyra jest przecie uprawnioną. Na nią nie pisze się sprostowań, bo te nie mają sensu — wystarczy nie dawać na przyszłość przedmiotu do takich uwag. Ten jest uznany cel moralny humoreski i satyry i jej w literaturze jakby uprzywilejowane miejsce. Tu stało się inaczej z woli urażonych śmiertelnie mężów, którzy w tym wypadku nie wabali się własnych żon wystawić na śmieszność — i polecili się im podpisać całym tytułem „Koło pań itd.“ na sażuistem sprostowaniu humoreski do *Gwiazdki cieszyńskiej*, prostując np. że na zabawie nie było żadnego „Busserl!“ A ten bezmiłosierny redaktor uczynił temu życzeniu zadość i umieścił sprostowanie, gorsze od wszelkiej satyry! Żal mi się zrobiło tych dobrych stworzeń, aż tak dalece uległych i westchnąłem w duszy za nich do Boga, aby im spuścił z nieba jakiś pantofel. Gdyby się to stało, a tutejsze Polki wzięły trochę pod ten pantofel mężów, jak trembowelska Chrzanowska, z pewnością zyskałaby na tem sprawa narodowa.

Jeżeli t. z. wyższe warstwy tutejszej społeczności są najwięcej nasiąknięte

germanizmem, to objaw ten głównie przypisać należy niewiastom. Dziewczęta w szkołach niemożę się bardziej aniżeli chłopcy. Niemczyzna uchodzi za coś wyższego, za dowód wykształcenia i ogłady — a któraż z niewiast oprze się pokusie uchodzenia za gładką? Ztąd to zjawisko, że bardzo wiele żon rozmaitych urzędników, dziewcząt na wydaniu itp. bez czynienia sobie wyrzutów, owszem z pewną zarozumiałością głośno ci powie: „*Meine Muttersprache war polnisch, aber ich habe es verlernt!*“ Już one w domu nie mówią tym macierzystym językiem, chyba ze sługami, a dziecko od nich nie nauczy się polskiego pacierza, który one same kiedyś umiały.

To najbardziej boląca rana na Ślązku austriackim. A druga ta, że i córki rękodzielników miejskich, choć u tych w domu jeszcze język bywa polski, coraz bardziej ulegają wpływowi niemczyzny, a głównie dlatego, że go uczą nie świeckie, ale zakonne nauczycielki — a te się szanuje, a często kocha, nie bez słusznego zkadąd powodu. To, co od nauczyciela świeckiego, często nie lubianego, albo przynajmniej nieposiadającego takiego uroku, przyjęłoby się z niewiarą lub niechęcią, od nauczyciela, dla którego się

ma szacunek i zaufanie, wnika w serce — i w niem zostanie. Tak tu powstaje niemieczyzna u dziewcząt i robi wśród niewiast większe niż wśród młodzieńców spustoszenia.

Aby pokrzepić zboliałą temi spostrzeżeniami duszę, trzeba uciekać na wieś, zaglądać do chat wieśniaków, albo do „kwaterów“ robotników, lub wreszcie jechać koleją najtańszą klasą, aby się spotkać z polskimi niewiastami wiejskimi. Miła każda taka wycieczka: przyjemne każde takie spotkanie, bo sobie powtórzysz z Polem „O nie zginęła jeszcze Ojczyzna, póki niewiasty tam czują“.

A te niewiasty wiejskie czują jeszcze po polsku, kochają ten swój język macierzysty, mówią nim do swoich dzieci, a tem samem kładą fundament pod gmach narodowy. Oczywiście i tu znajdziesz dużo popiołu, który czasem zdmuchnąć, a niekiedy aż zgartywać potrzeba, ale jak mężczyźni, tak i te bardziej niewiasty wiejskie, to podatny, rzekłbym drogocenny materiał do takiej narodowej roboty.

Ślązaczka jest najpierw gruntownie pobożną, — a to z przekonania — pomieszanie bowiem z lutrami zmusza do lepszego obznajomienia się z religią i podnieca do niej przywiązanie. Śląza-

czek już kilka pokoleń chodziło do szkoły, więc analfabetek tu nie znajdziesz, a ztąd i rozwój umysłowy większy, chociaż widoczne są ślady szkoły obcej i nauki nie podawanej w zrozumiałym języku. Schludność, zamówienie porządku, pracowitość, oszczędność i gospodarność są niemal powszechne mi i uznanemi zaletami śląskiej niewiasty. Oczywiście wyjątki, jak wszędzie i we wszystkim, tak i tu zdarzyć się mogą, ale powszechnie tak jest, gdzie się jakokolwiek będzie opędyć można. Nędza bowiem, brak pracy i zarobku sztydzi tu i wszędzie z tych pięknych przymiotów!

Jak Ślązacy, tak i Ślązaczki wiejskie to czują, że oni są „innym” narodem, aniżeli „panowie”. Od wieków nazywano ich Ślązakami, a i dziś tak często się mówi, więc i oni tak siebie nazywają. Od wieków graniczyli z „Polską”, więc i dziś ją tak nazywają i mają dla niej uszanowanie i jakąś jakby instynktowną miłość. Nie jeden i nie jedna, gdy jej mówisz, że oni są też Polakami, patrzy na ciebie ze zdumieniem i nie chce z początku temu uwierzyć. „Jacy my tam Polacy — cdpowiadają — my tak tylko umiemy po śląsku!”

Poczucie solidarności narodowej spi. Ale gdy się obudzi, wyradza szlachetną dumę; i taka Polka ślązka wyrasta potem olbrzymio w poczuciu swojej godności — i staje się patryotką w całym tego słowa znaczeniu. Niechęć, społecznie uzasadniona dla „obcych państw“, przybiera charakter narodowy i pobudza też do obrony spraw ojczystrych. Która bardziej rezolutna, gotowa, jak lwica swych młodych, bronić sprawy narodowej i dla niej się poświęcać, bo zresztą wszyscy Ślązacy, a zwłaszcza niewiasty, skłonne są do hojnej nawet ofiarności tam osobliwie, gdzie sprawy narodowe i religijne w jedno się schodzą.

Takiemi są te „matki ludu“ na Ślązku; one utrzymały dotychczas narodowość, z nich wyjdzie jej zupełne odrodzenie, ale trzeba je umieć pozyskać, trafić do ich przekonania i serca. A droga do tego nie prowadzi przez liberalno luterski patryotyzm, lecz przez szczerą, religijną miłość spraw ojczystrych. Polskie patryotyczne zakonnice, albo takie panny Radziejewskie podołałyby temu wielkiemu zadaniu.

XII.

Macierz szkolna.

W badaniu stosunków ślązkich dobiegamy do końca, a dla zaokrąglenia obrazu, potrzeba jeszcze wpomnieć o instytucjach, na które pragnęlibyśmy zwrócić uwagę tych, dla których sprawa odrodzenia Ślązka nie jest obojętną lub ostatnią rzeczą.

Najważniejsza wedle celu swego, a dziś najsilniejsza finansowo instytucja, to towarzystwo: „Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego“.

Jak wszystko niemal, co jest na Ślązku dobrego — i to towarzystwo zawdzięcza istnienie swoje ś. p. Stalmachowi — i jest jego, że się tak wyrażę, łabędzim śpiewem, to jest ostatnim dziełem, które założył. Pod każdym względem był to człowiek niezwykły. Żył ideą „odrodzenia Ślązka“ i po za tem nic go nie zajmowało, nic nie miało uroku i znaczenia. Los nie był mu

wcale przyjazny. Położenie materialne, jak to już bywa u przeważnej części polskich, niezawisłych wydawców, nie było wcale świetne; raczej skromne i ledwie przyzwoicie wystarczające — i to nie zawsze. W pożyciu codziennem trafiał go cios po ciosie; pochował jedną żonę i wszystkie, ile miał dzieci. Gdy znikło niebezpieczeństwo dostania się do więzienia, czego jak wspomniano, po jednym doświadczeniu, starannie unikał, naokoło stanęli mu na drodze przeciwnicy z własnego obozu, a psując owoce jego długoletniej pracy, zatruli mu spory kawał życia. Niejeden byłby uległ rozgoryczeniu i zniechęcił się do pracy. Ale śp. Stalmach pracował nie dla uznania, poklasków lub korzyści materialnych, więc choć ci sami, który z okazji 25-letn. jubileuszu „Gwiazdki Cieszyńskiej“ wydali książkę pamiątkową i toastami i innemi manifestacyami, jak to już bywa, wkładali mu na skroń wieńce, potem się od niego odwrócili, a zamiast kwiatów, sypali mu ciernie pod nogi, — on został tem, czem był od początku: „pracownikiem dla idei odrodzenia narodowego Ślązka“. Z pola tej pracy, w części się usunął, gdy wiek mu zaczął przypominać swoje prawa, ale usunął się tylko w części tj. zdał

wydawnictwo „Gwiazdki Cieszyńskiej“ w ręce „towarzystwa katolickiego prasowego“ z księży katolickich złożonego, sam zaś oddał się cały i całą duszą towarzystwu: „Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego“.

To był jego Benjaminek, który na świat przyszedł w r. 1885. Statuta tego towarzystwa oczywiście on ułożył a gdy rząd krajowy przyjął je do zatwierdzającej wiadomości 30. listopada tegoż roku, wybrano zarząd, którego prezesem, a właściwie i sekretarzem i wszystkiem był śp. Paweł Stalmach.

Jaki sobie cel wytknął Stalmach przy założeniu tego towarzystwa, to wskazuje statut, który mówi: „§ 1. Celem „Macierzy szkolnej“ dla ks. Cieszyńskiego jest zakładanie, utrzymywanie i wspieranie szkół średnich fachowych i ludowych, tudzież ochronek z polskim językiem wykładowym w obrębie ks. Cieszyńskiego, dopóki założenia takowych kcsztem publicznym uzyskać nie można“.

To ostatnie zdanie, i jakoby zakreślenie z góry istnieniu towarzystwa czasowej trwałości, dopóki szkoły z polskim językiem wykładowym kosztem publicznym zakładane nie będą, wskazuje, jakie marzenia snuła dusza

Stalmacha. On żył tą nadzieją, że nadejdzie chwila, w której prawa Księstwa Cieszyńskiego uznane być muszą, a szkoły polskie będą szkołami państwowemi.

Nie zapomniał też w statucie Stalmach o tych, którzy się podejmą mozolnej pracy nauczania w szkołach polskich towarzystwa i dlatego w § 2. włożył postanowienie, że towarzystwo ma się starać najpierw o szkoły i ich zaopatrzenie, a powtóre i o to, aby nauczycielom zapewnić emeryturę.

On też napisał w statucie: „aby przede wszystkim założone zostało gimnazjum polskie w Cieszynie, a następnie inne nadmienione zakłady, wedle możności i potrzeby w Księstwie Cieszyńskim“.

Wielkie te zamiary śp. Stalmacha znalazły oczywiście wielu, którzy je pochwalali, ale podobno wszyscy w Księstwie samem nie dowierzali, aby one kiedy ziścić się mogły, wrogie zaś zawsze Stalmachowi kółko wprost to uważało za „rojenia starego“. Stalmach niczem się nie zrażał, ale mając cały czas wolny pisał i pisał, kołatał na wszystkie strony Polski — a że u wszystkich samo nazwisko Stalmacha wzbudzało zaufanie, więc fundusze wpływały. Zbierało się w roku prze-

ciężnie 3—5 tysięcy, i tak ten fundusz rokrocznie wzrastał ku radości Stalmacha.

Sprawa postępowała zwolna ale statecznie przy niezmordowanej troskliwości o nią jej założyciela. Gdy fundusz dochodził już 20 tysięcy zaczęli i nie dowierzający dotychczas, wierzyć w możliwość założenia polskiego gimnazjum — a kółko mu przeciwne postanowiło swoim obyczajem, spróbować wówczas szczęścia — i wyrzucić Stalmacha, aby tak piękny fundusz, a z nim sławę i zasługę sprawy porwać w swoje ręce.

Śp. Stalmach oczywiście nie przeczuwał i z dobrą miną przygotował sprawozdanie na walne zebranie podobno w roku 1890, na którym też miały się odbyć nowe wybory. Na tem to walnem zebraniu zamierzono wykonać zamach i zrzucić śp. Stalmacha z prezesostwa.

Stalmach dopiero przyszedłszy na salę zmiarkował, że się coś knuje i jak łatwo zrozumieć, był oburzony. Posiedzenie było niespokojne i gorące, ale na szczęście sztuka się ta nie udała i jednym głosem utrzymał się Stalmach na prezesostwie. Przejście to parę dni odchorował, ale na przyszłość był ostrożniejszym i na walne zgromadze-

nia zapewniał sobie obecność katolików.

Śmierć Stalmacha jeszcze raz skłoniła kółko bazarowe do próbowania szczęścia w roku 1892, czy mu się nie uda opanować zarządu „Macierzy szkolnej“. Było to też najliczniejsze zebranie towarzystwa od jego założenia. Obie strony ewangelicko-liberalna i katolicka stanęły do apelu — ale oczywiście przy wyborze nowego prezesa przeszedł ks. Świeży, który jest nim do dzisiaj. A tu mimochodem warto dodać, że tak samo w każdej sprawie i w każdym towarzystwie stronnictwo katolickie mogłoby mieć większość, gdyby chciało. Jeżeli „Czytelnia ludowa“, „Narodowy dom“ i „Kasa oszczędności“ są w rękach pobazarowych gospodarzy, to tylko dlatego, że katolicy tych spraw tykać nie chcą dla różnych zrozumiałych, po tem, cośmy przedstawili, powodów.

Lecz wracam do „Macierzy szkolnej“. Przedstawiłem historję tego towarzystwa od jego założenia, a teraz kilka uwag o niem samem.

Że „Macierz szkolna“ dla zakładania i utrzymania szkół polskich średnich, fachowych, ludowych i ochronek, jest tu potrzebną koniecznością, dopóki rząd trzyma się zasady, że

w „dziedzicznej“ prowincyi śląskiej, dla 41 tysięcy Niemców, blisko 200-tysięczna ludność polska ma się uczyć w szkołach niemieckich, o tem ani słowa. Potrzebę tę uznać musi każdy, i tak robią wszystkie słowiańskie narodowości, które w tem samem, co Polacy na Śląsku, znajdują się położeniu. Ależ też właśnie przykład czy to „Maticy skolskiej“ czeskiej, czy innych towarzystw słowiańskich tego rodzaju — czy wreszcie sam przykład niemieckiego „Schulvereinu“, prowadzącego propagandę w odwrotnym wrogim nam kierunku, wskazuje, jaki powinien być właściwy zakres i sposób działania „Macierzy szkolnej“ dla Księstwa Cieszyńskiego, jeżeli ona prawdziwie na nazwę „szkolnej“ macierzy ma zasługiwać.

Wszystkie te towarzystwa opieki nad „szkołami“ troszczą się o stan szkół narodowych w dwojaki sposób: Najpierw starają się wyzyskać ustawy i od rządu wydusić, co tylko można, aby szkoły odpowiadały celowi wychowania publicznego, a więc budowały naukę i oświatę na języku macierzystym, jako tym, które dziecko zna, rozumie praktycznie — i z książki go się dopiero uczyć nie

potrzebuje. Powtóre, starają się te towarzystwa tam, gdzie od rządu wydobyć się nie da, z własnych funduszów zakładać szkoły w miarę możliwości i w miarę potrzeb narodowych.

XII.

Macierz szkolna.

Nikt nie zaprzeczy, że taką musi być ta troskliwość „Macierzy szkolnej“, jeżeli ma być rozumną i prawdziwie skuteczną. Czy „Macierz szkolna“ dla księstwa Cieszyńskiego tak działa?

Na to znajdujemy odpowiedź w sprawozdaniach „Macierzy szkolnej“. Sprawozdania te wykazują niektóre zalety Towarzystwa, a mianowicie: nadzwyczajną oszczędność kosztów administracyjnych, które stanowią prawdziwą drobnostkę i świadczą, że członkowie zarządu załatwiają sprawy administracyjne bezinteresownie i ofiarnie. Widać dalej w tych sprawozdaniach skrzętność i sumiennność w zbieraniu grosza, który ściągany ze wszystkich stron, bywa zaraz lokowany bezpiecznie, a nie idzie, jak w niektórych innych Towarzystwach na jakieś „pożyczki“, które choćby jak ubezpieczo-

ne, mogą albo być ostatecznie niepe-
wne, albo dawać pozór do zarzutów.

Te zalety „Macierzy szkolnej“ wi-
doczne z jej sprawozdań, wzbudzają
słusznie zaufanie do zarządu i zjednać
mu mogą uznanie.

Na darmo jednak szukalibyśmy w
tych sprawozdaniach, żeby „Macierz
szkolna“ za dziesięć lat swego
istnienia i rozporządzając dziś już fun-
duszem blisko 60 tysięcy złotych, zro-
biła cośkolwiek dla tutejszego szkolni-
ctwa. Przez lat dziesięć nie tylko nie za-
łożono jakiegokolwiek zakładu na-
ukowego, ale też o wykonanie żadnego
przyznanego ustawami prawa szkolne-
go, które mogłoby być z korzyścią dla
narodowego szkolnictwa, się nie po-
starano.

Że tego nie zrobił śp. Stalmach jest
rzecz całkiem naturalna. On cały czas
poświęcać musiał temu, aby sprawę ru-
szyć, aby szkołami służył resztę
Polski zainteresować, aby wreszcie fir-
mą swojego nazwiska „Macierz szkol-
na“ niejako zainstalować. On też —
jak już wspomniano — z rządem uni-
kał zatargu, wolał grosz zbierać i uzbie-
ranym coś zrobić, niż się upominać
choćby o rzecz najśluszniejszą, a zwa-
żywszy, że już stał nad grobem, a był
zmaltretowany walką z domowymi prze-

ciwnikami, będziemy go mieć za całkiem wytłumaczonego.

Ale dziś stoi na czele „Macierzy szkolnej“ mons. Świeży, który jest posłem do sejmu i parlamentu i jako taki może już skuteczniej w obronie praw narodowych, szkolnictwa dotyczących, głos zabrać, a i coś wykołatać; oprócz mons. Świeżego są w zarządzie „Macierzy szkolnej“ inne młodsze i niezależne siły, któreby mogły i powinny coś więcej dla szkolnictwa zrobić, niż robi do dziś dnia „Macierz szkolna“ ograniczając swoją czynność na skrzętnem i oszczędnem zbieraniu fundusów.

Sprawę tę poruszano już kilkakrotnie. Na walnem zebraniu „Macierzy szkolnej“ w r. 1892 zapadły dwie jednogłosne uchwały następującej treści:

1. „Poleca się wydziałowi Towarzystwa, ażeby u gminy miasta Cieszyna upomniał się o założenie dla 7-tysięcznej polskiej ludności cieszyńskiej „polskiej szkoły ludowej“, a w razie odmowy postarał się na mocy ustaw istniejących o zmuszenie gminy do spełnienia tego obowiązku“.

2. „Poleca się wydziałowi, aby założenie ochronki polskiej w Cieszynie, przedsięwzięte przez kogokolwiek, po-

parł subwencją, którą uzna za stosowne“.

Te dwie uchwały zapadły jednogłośnie, a więc wyrażały bez wątpienia ogólne zapatrywanie się na sprawę szkolnictwa narodowego i ogólne życzenie tak członków towarzystwa, jak i tutejszej polskiej ludności.

Co Wydział przedsięwziął dla wykonania tych uchwał, które go z pewnością obowiązywały i obowiązywać dotychczas nie przestały, niewiadomo, bo o tem nie w następnych sprawozdaniach doszukać się nie można.

Wyrazem tego samego zapatrywania było ostatnie nadzwyczajne walne zebranie „Macierzy szkolnej“ odbyte d. 1. grudnia r. 1894. Pod naciskiem osób interesujących się sprawą w Krakowie, zwołano to zgromadzenie w tym celu, aby „Macierz szkolna“, jak mówicno, „zaczęła w końcu coś robić“. Mons. Świeży zagajając zebranie wyznał: „Każdy rok przynosi nam olbrzymie straty — chodzi o usunięcie krzywdy moralnej, umysłowej i ekonomicznej, jaką naród polski cierpi na Ślązku austr“. — ale zakończył: „nasze fundusze 57.000 zł. są jeszcze za małe do założenia polskiego gimnazjum“.

Cała następująca a dość ożywiona dyskusya, w której brali udział goście z Krakowa, obracała się w kółko około założenia gimnazyum, na które, jak słusznie zauważał dr. Kreisel z Zabłonkowa, możemy jeszcze czekać 100 lat przy takim jak obecnie przypływie funduszków. Obliczono też, że utrzymanie gimnazyum bez budynku kosztować będzie rocznie około 30 tysięcy, oraz że rząd wydaje w Cieszynie, a zapewne i gdzieindziej na utrzymanie jednego gimnazyum o 300 uczniach rocznie 32.000 zł.

Ostateczne uchwały, na wniosek p. Danielaka uchwalone, polecały znowu tylko: zbierać fundusze, wysyłać prośby i deputacye do rządu i do cesarza!

Że uważamy polskie gimnazyum w Cieszynie za potrzebne, ale nie za jedyne i wyłączne zbawienie narodowości polskiej na Ślązku, powiedzieliśmy już poprzednio i tu jeszcze raz postawić musimy pytanie:

1. Czy jest rzeczą i prawą i pewną, że samo założenie polskiego gimnazyum w Cieszynie jest rzeczą najpilniejszą — i że ono samo usunie krzywdy moralne, umysłowe i ekonomiczne?

2. Czy wobec tego, że „każdy rok przynosi olbrzymie straty” ludności polskiej w Księstwie Cieszyńskim — poza sprawą założenia polskiego gimnazyum — nie ma żadnej innej rzeczy, którąby dla szkolnictwa narodowego w Księstwie Cieszyńskim uczynić można?

XIII.

Towarzystwa ludowe.

Towarzystwa ludowe na Ślązku mają pod wielu względami odrębny charakter od tych, które są znane w Galicyi lub Wielkopolsce, więc warto im poświęcić nieco więcej uwagi.

To co nas zgubiło, to, co po dzień przeszkadza rozwojowi nie tylko sprawy narodowej, ale wielu też innych spraw pożytecznych i żywotnych, to z jednej strony zbyt liczne wybudowanie „osobistych” interesów ponad sprawę, choćby najświętszą i najwyższą, jaką np. jest dobro Ojczyzny, a z drugiej strony przesadne oglądanie się w każdej sprawie za tak zwaną „firmę”.

Cokolwiek zaczyna się robić w jakimkolwiek kółku, nawet gdy jest rzecz najlepsza, przychodzi zwykle na porządek obrad pytanie: „kogo uprosić na firmę, na prezesa?” Rzeczy wymagane od takiego firmanta, to nie

są bynajmniej fachowa w jakimś kierunku wiedza, jego energia, zdolności lub tym podobne przymioty — musi to być tylko *bene natus* albo też musi mieć dźwięk żółtego kruszcu, lub jego ekwiwalentu. Gdy jest jeden z tych dwu wymaganych przymiotów, może „firma“ być nieczynną, może być ospałą, nawet niedoleżną — byle była pięknie wymalowanym i wabiącym szyldem. Wadę tę, od której i po za granicami Polski nie są wolni, u nas we wszystkich działach Ojczyzny doprowadziliśmy do perfekcyi.

Na Śląsku, gdzie cała siła narodu polega w ludzce, gdzie ten sam lud jest w sprawie narodowej wszystkim, nie nie znaczą firmy ale czyny. Jeżeliby można tak powiedzieć, to do pewnego stopnia firmą dobrą u ludu śląskiego jest tylko „ksiądz“. Ale i to tylko do pewnego stopnia, tj. tak długo, jak długo ten ksiądz z tym ludem czuje i dla niego pracuje. Nawet ksiądz, jeżeli stoi lub stanie po stronie wrogiego narodowości żywiołu, przestaje być „firmą“ dla ludu polskiego, a choć należny mu szacunek oddadzą, w sprawach narodowych nie posłuchają. Najlepszym i wielce pocieszającym tego dowodem były przeszłoroczne gorące walki na Górnym Śląsku przy

wyborach. Duchowieństwo, które w walce kulturalnej z Bismarkiem szło w ścisłej łączności z ludem i z jego pomocą zapędziło żelaznego księcia do Kanossy po walce kulturalnej, gdy lud śląski, w rozwoju sprawy narodowej zażądał posłów nie tylko takich, którzyby z „centrum“ trzymali, ale też byli Polakami lub przynajmniej po polsku mówili, stanęło przeciw polskiemu ludowi, narzucając mu za posłów niemieckich katolików. Najżywsza walka toczyła się przy wyborze p. majora Szmuli. Pan Szmula jest jednym z tych białych kruków na Śląsku górnym, który posiadając majątek ziemski i będąc wysłużonym majorem pruskim, nie przestał być Polakiem i czuć z ludem. Wybrany posłem należał do centrum, ale bronił dzielnie w parlamencie pruskim praw ludu polskiego na Śląsku, a na zgromadzeniach ludowych przemawiał do ludu serdecznie i zrozumiale, więc lud cały za nim przepada. Przy ostatnich wyborach chciała partya niemiecka nawet katolicka wraz z liberałami p. Szmulę zwalić.

Ale *Katolik* stanął w obronie p. Szmuli — i p. Szmula zwyciężył znaczną większością. Rozgoryczone porażką duchowieństwo rozpoczęło teraz kampanię przeciw *Katolikowi*, którego za cza-

sów walki kulturalnej popierało. Nawet nazwa *Katolik* nie pomogła i sypały się nietylko w pismach, ale i z ambon gromy przeciw „polskim redaktorom”. Wszystko jednak bezskutecznie, a raczej ze skutkiem odwrotnym, a przytem z osłabieniem niemałym powagi duchowieństwa. Trwało to więcej niż rok, dziś przycichło, ale zwycięzcami na placu boju zostali „polscy redaktorowie” i ich *Katolik*, *Nowiny Raciborskie* i *Gazeta Opolska*. Jeden p. Maćkowski niedawno ożeniony, a ciąglymi procesami i więzieniami gnębiony, ze względu na żonę, oddał pismo swe p. Eckertowi, współpracownikowi *Katolika*, a sam poszedł do czasu wypocząć po kilkakrotnych więzieniach.

Z tego, cośmy tu pokrótce opowiedzieli, wynika, że na Ślązku górnym jedyną „firmą”, która ma powagę i wartość u ludu to „polski redaktor”. Rzeczywiście ci trzej redaktorowie, a notabene idący solidarnie we wszystkich sprawach (rzecz niewidziana w innych działach Polski) stanowią najwyższą powagę na Ślązku — oni tam są królami po laurach zdobytych w walce z rządem, antynarodowem duchowieństwem i Niemcami.

Stwierdza to to, cośmy powiedzieli na początku, że dla ludu oświeconego

nie znaczą nic „firmy ale czyny!“ Czy to Miarka, czy Radziejewski, czy Napieralski, Maćkowski itd. nikt go nie pyta, kto cię rodzi? albo u kogo masz łaski? — ale lud patrzy na to co robią, czyta co piszą, widzi jak cierpią i znoszą — i to oceniając, komendy tych mężów słucha.

Skutek tego ten, że bez przesady powiedzieć można, iż lud polski Ślązka górnego jest „najdojrzałym politycznie“. Rozumie sprawę narodową i ocenia prawdziwą pracę i zasługę. Skutek drugi ten, że przy zakładaniu Towarzystw robotniczych, ludowych, przy składaniu komitetów wyborczych itd., idzie tam hasło z redakcyj, każdy go słucha, a na żadną inną „firmę“ nie patrzy, ani się tem nie da sprowadzić z drogi, że tam hr. Ballestrem, lub książę na Raciborzu, albo też ten lub ów farań czy dziekan tego sobie nie życzą, albo się nawet o to gniewają. Oczywiście, którzy są zawiśli, pracują w kopalniach lub innych zakładach, muszą być ostrożni, lecz ich broni dość skutecznie „pruska *Gesetzlichkeit*“ t. j. respekt dla ustaw raz istniejących.

Wśród takich warunków, jak już na początku wspomniano, praca narodowa na górnym Śląsku jest zapewne

trudną i najeżoną przeszkodami, bo przewaga obcego żywiołu jest wielką, rzecz można olbrzymią, ale przecie ciągle się rozwija i naprzód postępuje. Najpierw skupiało się wszystko w Bytomiu, jakoby pod skrzydłami Krakowa, dziś posunięto się na zachód ku Wrocławowi i zajęto Raciborz i Opole.

W trzech tych ogniskach skupia się ruch i praca narodowa pod kierunkiem trzech redaktorów. Zamiast jak gdzie indziej centralizować pracę narodową lub towarzystwa, tu wręcz innego trzymają się systemu decentralizacyi, a towarzystwa mają wszelką swobodę rozwijania stosownie do miejscowych stosunków. Jest to także skutek i owoc tego, że żadne z nich nie czuje potrzeby szukania „firmy“ do swojego rozwoju i porodzenia. Rodzi je potrzeba, a wystarcza cel uczciwy, aby zgromadzić do wspólnej pracy wszystkich, którym na osiągnięciu tego celu zależy. Inicytywa wychodzi najczęściej od redaktorów w formie jakiejś rzeczowej myśli lub projektu; często ktoś z czytelników podniesie sprawę w piśmie, a że w całym obozie narodowym jest zgodność i dobra wola, ponieważ myśli podanej przez jednego redaktora drugi nie zwalcza dlatego, że nie od niego wyszła i nie wyszukuje żadnych

„ale“ — więc sprawa z łatwością się przyjmuje, a opozycja z antynarodowego obozu nie tylko nie szkodzi, lecz owszem zapal podnieca. Przy wyborze wydziałów nie ma żadnej konkurencji na prezesów, sekretarzy i tym podobnych dostojników, ale zostaje nim rzeczywiście ten, kto ma najwięcej zdolności lub czasu do sprawowania połączonych z tymi urzędami czynności.

W obec tego rzeczą jest naturalną, że ruch narodowy płynie coraz szerszem korytem, a liczba towarzystw narodowych w każdym kierunku wzrasta. Tak jest na Górnym Śląsku — zobaczmy, jak to wygląda w księstwie Cieszyńskim.

I tu lud tak samo żadnej do „firm“ nie przywiązuje wagi, ale patrzy na czyny i takowe ocenia. O śp. Stalmachu wszyscy wiedzieli, że wyszedł z pod strzechy chłopskiej w Bażanowicach, a majątku żadnego nie ma, ale on był „polskim redaktorem“ — człowiekiem, który coś robił, pisał, cierpiał dla ludu, więc on był „firmą“ i powagą, a że był jedynym takim człowiekiem, więc rzecz można był dyktatorem na Śląsku. Nie chodziło mu o zyski i osobiste korzyści, więc to dyktatorstwo było całe wylane dla dobra polskiego

ludu — i dobrze z tem było. Około *Gwiazdki Cieszyńskiej* a właściwie około żywego i osobistego a czynnego jej redaktora skupiał się ruch narodowy, z jego inicjatywy powstawały Towarzystwa, pod jego kierunkiem szły sprawy. I czyż źle było?

Lecz wróćmy do naszej sprawy. Po usunięciu się Stalmacha, po zdyskredytowaniu „firmy bazarowej” — a po wprowadzeniu raz do Księstwa Cieszyńskiego manii zastępowania spraw firmami, ucierpiała mocno sprawa narodowa. *Gwiazdka Cieszyńska* od usunięcia się śp. Stalmacha nie ma już tej firmy dawnej, a więc stała się w tym względzie jakby mieszkaniem pustem — bez gospodarza.

Ale Bóg zmiłował się nad Księstwem Cieszyńskiem i dał mu nowego po Stalmachu człowieka, monsr. Świeżego, który zabrał się do roboty i założył, jak wspomniano, ludowe towarzystwo „Związku śl. katolików” — i „Towarzystwo wydawnicze błog. Sarkandra”. Było znowu dobrze czas jakiś, póki na msgr. Świeżego nie zwały się wszystkie prace — i póki spółka „bazarowa” nie wprowadziła mody, że każda sprawa, która się tu ma robić, ma mieć „firmę” albo ks. Świeżego, albo żyro „bazarowej spółki”, albo jedno i dru-

gie. Bo i ta spółka, wiedząc, że na jej podpis, prócz jej przyjaciół w Galioyi, nikt nie da tutaj na Ślązku, reputuje swoją reputacyę firmą ks. Świeżego.

Skutek tej manii nadawania pewnej jakiejś firmy każdej sprawie, doprowadza wszędzie do centralizacyi spraw albo w ręku ludzi, iż tak powiem, jednego gatunku, albo, jak tu na małym Ślązku, do centralizacyi ich w jednej osobie. A więc posłem do Rady państwa jest msgr. Świeży, do sejmu msgr. Świeży, członkiem Wydziału krajowego msgr. Świeży, prezesem „Macierzy szkolnej“ msgr. Świeży, towarzystwa „Sarkandra“ msgr. Świeży, członkiem każdego wydziału innych towarzystw msgr. Świeży, zwołującym i prezydującym na każdym zebraniu mr. Świeży. Cześć praoy, zacności i poświęceniu tego kapłana, który po Stalmachu zapewnione ma drugie miejsce w szeregu pracowników nad odrodzeniem Ślązka — ale przecie każdy to widzi, że zadość uczynić tym wszystkim obowiązkom dokładnie i w zupełności przechodzi siły dwu ludzi, a nie dopiero jednego człowieka. Wódz naczelny potrzebny, ale ten nie prowadzi też każdego z osobna korpusu, bo to jest i czystem niepodobieństwem i ze szkodą dla ruchu całej armii — zwłaszcza gdy

do spełnienia tych wszystkich obowiązków potrzebaby być równocześnie co najmniej we Wiedniu, w Opawie i Cieszynie.

Niezbędną tedy jest decentralizacya i podział pracy jak na Górnym Śląsku — a możliwą jest, bo przecie znajdują się po za bazarowem kółkiem zacni ludzie, jak dr. Kreisel, notaryusz Kasprzak, kilku zdolnych i zacnych księży i innych. Nawet kółko pobazarowe gdyby chciało pracować, a nie centralizować, znalazłoby pożyteczne dla siebie zajęcie i byłoby czemś!

Dalszym skutkiem szukania „firm“ jest ta sama choroba, na którą cierpi i Galicya, z kąd ten sposób działania został tu przeniesiony. Lud się nie wyrabia i nie kształci narodowo i politycznie, jak to widzimy na Górnym Śląsku, a po części teraz w Wielkopolsce. Czy w Kółku rolniczym, czy w Czytelni szuka się na kierowników koniecznie kogoś z tak zwaną lepszą firmą, a czasem dąży do tego, aby lud był prowadzony i trzymany na wodzy, zamiast aby się sam wyrabiał i uczył się pracować samorządnie i kierować sprawami swojemi. Że to lud potrafi, widoczna z przykładu Górnego Śląska, gdzie jest naczelne dowództwo w ręku trzech redaktorów

ale w towarzystwach jest samorząd i decentralizacya. Że to nie grozi żadnem niebezpieczeństwem socyalnem, ani opanowaniem ludu przez socyalistów, również przekonać się można z przykładu Górnego Ślązka, a w części i Wielkopolski, gdzie ruch ludowy już się więcej rozwinął, a przecie do obozu socyalistów nie przeszedł.

Owszem było dobrze, dopóki nie zaczęła się kilkakrotnie już wspomniana walka bazarowa. Inicyatorowie tej sprawy zamiast, jak redaktorowie górnoślązcy, zawrzeć niezbędny i konieczny w tutejszych warunkach pakt „solidarności narodowej“ w obec wrogiego obcego żywiołu, zamiast wedle korzystnej tu zasady decentralizacyi, iść zdobywać Bielsk lub Bogumin, wszczęli ze Stalmachem spór nie o zasady, ale o „osobisto-wyznaniowe“ sprawy. Nie mając sami nic za sobą sprowadzili z Galicyi do Ślązka austr. manię zasłaniania się „firmą“ — i taką firmę, prawdziwie dobrą, znaleźli w zacnym i ofiarnym p. Ignacym Żółtowskim, oraz w protekcyi niektórych dzienników galicyjskich. Byłoby to w gruncie rzeczy nie złe, boć jeżeli przeszło milionowa ludność Górnego Ślązku, będąca zawsze, w skutek zarobków fabrycznych, przy jakim takim

groszu i oparta o wolnomyślniejszą, niż austryacka, konstytucję pruską, daje sobie sama rady, to w Księstwie Cieszyńskim ludność „trzech“ powiatów politycznych, mniej liczna i biedniejsza, potrzebuje niejakię pomocy i poparcia od braci innych działów, a zwłaszcza z Galicyi. Więc tu firmanci, a zwłaszcza tacy hojni, jak p. Żółtowski i poparcie dzienników galicyjskich mogło być pożądane. Ale niestety posunięto, zapewne nieze złej woli, sprawę za daleko. Z Krakowa nie zbadawszy miejscowych stosunków, chciano kierować sprawami tutejszemi apodyktycznie — na wiarę kierowników bazarowego interesu — przeciw doświadczonemu i zasłużonemu wskrzesicielowi sprawy narodowej na Ślązku. Żalił się na to Stalmach i fakta udowodnione przytaczał, jako w Krakowie, gdy przyszedł ktoś do *Czasu* i prosił o umieszczenie przedmiotowego doniesienia w jakiejś sprawie, odpowiedziano mu: „A my o Ślązku nic nie piszemy bez p. Żółtowskiego — ten zna te sprawy“. A gdy poszedł do *N. Reformy*, znowu mu jeszcze lepiej powiedziano: „Myśmy się zobowiązali nic nie umieszczać, coby nie było za porozumieniem z tamtem kółkiem z nami jednomyślnem!“

Tu i tam nie zadano sobie nawet pracy przeczytać rzecz, o której umieszczenie chodziło — bo nie miała na sobie z góry pieczętki partyjnej! Jakie to za sobą pociągnęło skutki już wiemy z tego, co poprzednio opowiedziano. Nie wiele też korzyści mieli sami firmanci i protektorowie. P. Żółtowski nie pierwszy i nie ostatni zapewne, doświadczył losu osób dających „firmę“ — bo ze znacznych jego ofiar dla Ślązka nie ma żadnego śladu i pożytku dla tego Ślązka, który tak ukochał.

W sprawach narodowych na kresach nie należy pytać się „kto“ ale „co“ robi? nie szuka się „firm“ ale popiera sprawy, a wreszcie przykładem górnoślązkich trzech redaktorów powinno się iść solidarnie w zasadach i szczegółach.

Lud nasz polski wszędzie ma silną obronę przeciw socjalizmowi w swej głębokiej wierze, a drugą obroną może mu być „prawdziwa“ życziwość“ ze strony jego naturalnych przewodników duchownych i tak zwanych „starszych braci“, która bynajmniej z sobą nie musi nieść trzymania ludzi jak mówią „w kordzie“. Trzecią wreszcie obroną mogą być nie tak pisma same, ile raczej redaktorowie

żywi, przejęci głęboko zasadami chrześcijańskimi i głoszący pismem, słowem i przykładem, jak to czynią trzej niezrównani w tym względzie redaktorowie Górnego Śląska, a także redaktorowie ludowi w zaborze pruskim. Te też trzy wały obronne w przemysłowym i fabrycznym Górnym Śląsku, mimo wyteżonych usiłowań partii socjalno-demokratycznej berlińskiej, zachowały ludność polską pod zaborem pruskim od socjalizmu. Częstka, która w sidła socjalnej demokracji wpadła, jest najpierw zbyt drobną i nie wystarcza nawet do utworzenia jakiejś organizacyi, a powtórę w każdej pszenicy musi być nieco plewy.

Wracając do towarzystw ludowych w Księstwie Cieszyńskim zaznaczyć wypada, że organizacya „decentralizacyjna” przecie i tu po części ma miejsce nie tylko bez szkody, ale z pożytkiem dla sprawy narodowej.

Istniejące tu „Kółka rolnicze” i „Czytelnie” tworzą każde dla siebie osobne, samorządne i samoistne towarzystwa. Nie ma takiej centralizacyi w „jednym zarządzie” jak w Galicyi. Rząd krajowy, czyli właściwie Sejm śląski uznał tę autonomię „Kółek”, i traktuje je jako „małe, miejscowe towarzystwa gospodarskie”, którym

udziela wprost subwencji i wprost z niemi się znosi bez pośrednictwa zarządów głównych lub podobnych instytucyj. Im więcej samodzielnych „ognisk” się tworzy, które miejscowym potrzebom zaradzić się starają, tem szerzej i pewniej rozlewa się światło, a żadne „centralne piece” oświetlenia, czy ekonomicznego czy umysłowego, nie zdołają sprostać sile i pożytkowi ognisk gęsto po całym kraju rozrzuconych.

XIV.

Zakład Polek-Tercyarek.

W końcu wspomnę o jednym z najmłodszych, ale bezsprzecznie najważniejszym, bo najpraktyczniejszym z towarzystw w Księstwie: o „Towarzystwie Polek-tercyarek“.

Od trzech lat istniejąc, ma ono już swoją zajmującą historję, która praktycznie oświeca tutejsze stosunki, a z drugiej strony stwierdza po części wszystko to, cośmy pisali dotychczas o sprawach Księstwa Cieszyńskiego.

Kto dał inicjatywę do założenia „Towarzystwa Polek-tercyarek“, nie wspominamy teraz, boć sądzimy, że ani inicjator sławy zapoczątkowania dobijać się nie będzie, ani też bezstronni czytelnicy, pragnący prawdziwie odrodzenia Ślązka i poparcia tu spraw narodowych, pytać będą: „kto pohnął i zaczął?“ ale raczej ocenią: „co i jak robi?“

Owoż „Towarzystwo Polek-tercyarek“ zawiązało się w roku 1892 z niewiast z ludu, a wytknęło sobie pierwotnie za cel główny: „założenie klasztoru polskich zakonnic w Cieszynie, któreby w duchu tercyarstwa i w duchu narodowym tu pracować i niewiasty śląskie skupić mogły w jednym religijno narodowym ognisku“. Potrzeby takiego ogniska dla niewiast śląskich i dla służby żeńskiej w Cieszynie nikt nie zaprzeczy, a po tem wszystkiem, cośmy przedstawili, każdy zrozumieć może doniosłość takiej instytucji.

To też zaprzeczyć się nie da, że myśl tę przyjęto z początku tak tu w Księstwie jak w Polsce całej z powszechnem uznaniem i życzliwością. W skutek tego objawiły też „panie cieszyńskie“, dziś „kółko pań szkoły ludowej“ tworzące, chęć przyłączenia się *in gremio* do Towarzystwa, a żeby nie było potrzeba brać na siebie obowiązków „tercyarek“, nie dla wszystkich zrozumiałych lub przystępnych, więc na zebraniu pań 25 marca 1892 postanowiono zawiązać pod nazwą „Komitetu Polek ochrony cieszyńskiej“, jakoby radę nadzorczą Towarzystwa tercyarskiego — i zdążać wspólnie do wytkniętego celu.

Zdawało się, że rzecz ułożona świetnie i dobry zawiązek zrobiony. Odezwa pierwsza w tej sprawie była już ułożona i podpisana wspólnie przez „panie“ i „tercyarki“ pod jednym mianownikiem: „Polek ślązkich“.

Tymczasem nie wchodząc w to, z jakiego powodu i czyjego wpływu, położono zaraz w pierwszej odezwie nacisk na to, że komitet nie będzie tylko poprzestawał „na zbieraniu“ funduszu, ani czekał, aż zbierze „dośćstateczne“ tysiące na dokonanie wszystkich celów towarzystwa, ale zabierze się zaraz do pracy — zaraz lub jak najrychlej dom kupi lub najmie i jeszcze w tym samym roku 1892 ochronę stworzy. Podstawą takiego postanowienia były dwie rzeczy, najpierw przekonanie, że dobrą sprawę Polska cała poprze, a widząc, że się coś rzeczywiście robi, robotników nie opuści, powtóre i głównie oparte było to postanowienie na tem, że właśnie w tym czasie zapadła na walnem zebraniu „Macierzy szkolnej“ jednomyślna uchwała, że „wydział Macierzy“ ma dać stosowną ochronę subwencyę, gdy ona przez kogokolwiek założoną będzie.

Niestety atoli, rzecz z trudem skojarzona rozbiła się i tercyarki same jedne na własną rękę musiały rozpocząć

działanie. Oczekiwania nie zawiodły: odezwa terocyarek znalazła echo w całej Polsce i posypały się datki, które wkrótce, bo w przeciągu paru miesięcy, dobiegały tysiąca zł. Ponieważ nie chodziło o żadne budowanie gmachów, ale o skromny chociażby na początek klasztor, więc z tym funduszem zabrano się już do wynajęcia i ewentualnego zakupienia domu.

Gdy zobaczono, że coś naprawdę ma się zrobić i że już jest nawet punkt jakiś oparcia, wtedy podniesione zostało twierdzenie: „Nie terocyarki, jakies, ale sama „Macierz szkolna“ otwori ochronę; — to jej cel, takie rzeczy do niej należą!“ Zgodni i — o r z e c z — a nie o wysuwanie się naprzód dbające tercyarki odpowiedziały: „Dobrze! niech robi „Macierz szkolna“ — lecz zaraz, — a skoro coś robi, oddamy jej wszystkie fundusze!“ Czekwały też Polki-terocyarki przeszło pół roku. Ale „Macierz szkolna“ się rozpędziła, urządziła parę posiedzeń, a w końcu dała na piśmie: „Nie będziemy zakładać ochrony — niech próbują tercyarze!“ Ruszyli się tedy dalej tercyarze i zawarto układ o kupno domku.

Zaledwie się to stało, znowu aż z trzech stron napiętrzyły się przeszkody. Najpierw zaczęły się rozmaite

protokoły, indagacye, dochodzenia ze strony rządu. Przewodnicząca komitetu tercyarek musiała kilkakrotnie w „h e t m a ń s t w i e“ (tak tu nazywają „starostwa“) stawać na termina i tłumaczyć się: kto, co, jak itd. zamyśla robić? Ale że wszystko było w porządku i w duchu ustaw, więc na indagacyach się skończyło.

Poważniejszą trudność sprawiło, że na prośbę, wniesioną do władzy duchownej o zezwolenie na osiedlenie się polskich zakonnic z Krakowa w Cieszynie, przyszła odmowna odpowiedź. Na przedstawienia i prośby powtórne, oświadczone, że przeciw „ochronce polskiej“ duchowna władza nic nie ma, ale zakonnicom z Polski na razie żądanego zezwolenia na csiedlenie się w Cieszynie dać nie może.

Popsuło to nieco zamiary, ale najszkodliwiej na sprawę oddziaływały intrygi domowe, jakie zaczęły się wykluwać, gdy zobaczono, że na prawdę coś się robi. Nie brakło usiłowań, aby zasiać niezgodę nawet w gronie samych Polek-tercyarek?! Ale o twardą opokę serc wierzących i sprawie oddanych tych nie wysoko wykształconych, ale głęboko cnotliwych niewiast ślązkich, rozbiły się te wszystkie usiłowania

z tym jedynie skutkiem, że sprawa się przewlekła o lat kilka.

Nie przeminął ten czas marnie, bo tymczasem radząc i szukając sposobów jak najlepszego wykonania zamiarów, odstąpiono od pierwotnego, a nie dającego na razie się wykonać, planu, założenia polskiego klasztoru, a jako cel wytknięto sobie: „otoczenie opieką nie tylko dziatwy, ale w ogóle młodzieży uboższej — i niewiast.“ Jako środki do tego celu obrano następujące cztery rzeczy: a) ochronkę dla dzieci, b) bursę dla szkolnej młodzieży, c) pracownię dla niewiast, d) któraby w święta służyła za salę do rozrywek lub czytania.

Z tego widać, że plan działania praktycznie i szeroko zakreślono, uwzględniając naglące miejscowe potrzeby, a także pragnąc jak najwięcej wyzyskać to oparcie, jakie przedsięwziętemu działaniu dostarczyło kupno domu.

W dalszym wykonaniu zamiarów, ponieważ przed uzbieraniem potrzebnych na adaptację domu funduszków, tylko ochronkę można było na razie utworzyć, wniesiono do Rady szkolnej krajowej prośbę o udzielenie koncessyi na ochronę, której założenie w statucie było zapowiedziane, a którą podjęła się prowadzić pani Józefa Jaroszyńska ze

Lwowa. Trwało to parę miesięcy, zanim nadeszła odpowiedź Rady szkolnej. Rzecz dziwna atoli, że pomimo, iż jak zapewniano, Rada okręgowa prośbę przychylnie konkomitowała, nadeszła pod dniem 17. czerwca 1894 roku do l. 726 z Rady szkolnej krajowej lakoniczna, ale nader ciekawa i jedyna w swoim rodzaju rezolucya. Powiedziano w niej mianowicie tak: „Prośbie towarzystwa tercyarzy o nadanie koncessyi dla założenia ochronki polskiej w Cieszynie Rada szkolna postanowiła „z braku wymaganych uprzednich danych odmówić“ (*aus Mangel der erforderlichen Voraussetzungen nicht zu gestatten*). Orzeczenie to podobne do wyroków pityjskiej wyroczni dowodnie świadczy, gdzie tu jest główny punkt słaby narodowej sprawy, i potwierdza, cośmy powiedzieli powyżej, że germanizacya leży w „systemie“. Więc gdzie są polskie dzieci, polska ludność, gdzie jest dom i ogród i ukwalifikowana austriackimi dyplomami osoba do prowadzenia wychowawczego polskiego zakładu, odkrywa się jeszcze jakiś niewypowiedziany brak „uprzednich danych!“

Nie pozostawało tedy nic innego, jak rzecz zacząć *a capo*, i tym celem teraz najpierw poufnie badano, czego

właściwie Rada szkolna krajowa żąda. Pouczono, że trzeba załączyć do prośby dowody, że sala jest odpowiednia i że dzieci chętne do ochrony są. Na tych jednak dowiadrywaniach się minęły letnie miesiące, no i otwarcie zakładu odroczyć potrzeba było do roku 1895. I na tym punkcie dziś sprawa stoi.

Z tego, cośmy tu przedstawili, każdy bezstronny pozna, że zakład „Polek-tercyarek” wedle dzisiejszego statutem wskazanego planu, jest nader potrzebnym i praktycznym zakładem. Pomieści on w sobie jak powiedziano: Ochronę polską dla dzieci; bursę na 8—10 uczniów; pracownię niewiast i salę do zebrań prawdziwie ludowych.

Warto też jeszcze przytoczyć z ostatniego publicznie ogłoszonego sprawozdania „Polek-tercyarek” daty, które wykazują z jak skromnym funduszem przy energii i poświęceniu założono fundament pod zakład narodowy takiej doniosłości.

Wedle sprawozdania ogłoszonego w maju 1894 wpłynęło od r. 1892, tj. od chwili podniesienia tej sprawy 948 zł. 13 ct. Z tym funduszem przystąpiono do kupna domu za 8 100 zł. o który zawarto kontrakt tej osnowy: Jako pierwszą ratę wypłaca towarzystwo 1000 zł., a resztę obowiązuje się spła-

oic w ratach po 1.500 zł. rocznie, z procentami po 5% od niewypłaconej jeszcze ceny kupna. Brakowało tedy nawet na pierwszą ratę ceny kupna, a gdy „Polki-tercyarki“ zwróciły się do „polskiej kasy“ o pożyczkę 200 zł. (!) na kupno domu w Cieszyńie, odesłano ich do filii w Fryszaku, bo tam ma dom jedna z tercyarek, która za tę kwotę ręczyła. Do Fryszaku się nie udawano, ale pomiędzy sobą zebrano, co było potrzeba i kontrakt kupna podpisano.

W ten sposób „Polki-tercyarki“ z prywatnego swego szczupłego mienia włożyły już w tę sprawę paręset zł. i trzymają ją dotychczas, zdecydowane choćby o własnych siłach nie dać jej upaść.

Ale takie wysiłki tylko ten będą miały skutek, że odroczą otwarcie tak żywotnego i ważnego zakładu, tem bardziej, że z wiosną potrzeba nietylko zapłacić drugą ratę ceny kupna w kwocie 1500 zł., ale też zbudować salę, której przybliżony kosztorys przekracza 2 tysiące zł.

Z tego powodu chcieliśmy tę sprawę podnieść, aby ci miłośnicy sprawy ojczystej, którzy patrzą przedewszystkiem na to, co i jak się robi, a nie ulegają wpływom partyjnym lub osobistym, poparli uczciwe usiłowania opar-

te nie na frazesach, ale na energicznem, sumiennem i pełnem poświęcenia działaniu.

Nim stanie polskie gimnazyum, zakład „Polek-tercyarek“ wychowa może setki polskich dziatek w ochronie; kilkudziesięciu uczniom zmuszonym chodzić do szkół jakie są, umożliwi naukę i zachowa ich od germanizacyi, a liczną najbardziej osieroconą rzeszę pracujących lub służących niewiast, wydanych na pastwę molochowi niemieckiemu, od którego ich żadne gimnazyum nie ustrzeże, zachowa od wynarodowienia.

A zakład tej doniosłości wszedłby zaraz w życie, gdyby splecono resztę ceny kupna tj. 7 tysięcy i przeprowadzono adaptacye domu, na któreby trzeba ze 3 tysiące. Nie wątpię po tem, co dotychczas zrobiono, że się to robi, a pragnąłbym, aby znaleźli się ludzie, którymby zależało na tem, aby się zrobiło w tym roku to, na co przy wysiłkach i przeszkodach rozmaitych potrzebaby jeszcze lat parę.

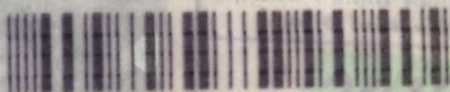


20v



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

2039 S



001-002039-00-0

Sygn.: ZBIORY ŚLĄSKIE